

MAREK WAWRZKIEWICZ

Przyjaciel mieszka nad morzem



Na Górze Chełmskiej pod Koszalinem archeologowie i antropolodzy poszukują śladów dawnych mieszkańców tych ziem. Prace wykopaliskowe mają trwać kilka lat. Dotychczas odkopano już wiele szkieletów ludzkich i przedmiotów codziennego użytku.

Na zdjęciu: młodzi archeologowie przy pracy.
Fot. E. Pelczar

Barbara jest filigranowa. Ma bardzo małe, nerwowe ręce, kruszy w nich zapalki. Jest ładna, krótko obcięte brązowe włosy schowała pod czapkę — kominiarkę. Trudno mi uwierzyć, że ta mała dziewczynka jest od dłuższego czasu mężatką, żoną poważnego dziennikarza. Nie widziałem Barbary przez dwa lata. Nie zmieniła się przez ten czas. Wygląda tak — moją jak wtedy, kiedyśmy się poznali. Jak to było? Pamiętam Barbarę, oczywiście pamiętam. Lato, upalna niedziela, miasteczko o 12 km stąd. Mielno. Las, piasek i morze. I — w ten właśnie dzień, ogromnie dużo słońca. Jeszcze modna plaża, a więc tłumy, wrzask zagłuszany szumem morza.

Mielno jest miejscowością ulubioną przez łodzian. Przyjechałem tu, ty przyjechałaś z Koszalinem — to był pierwszy dzień naszej znajomości. A nazajutrz spotkaliśmy się w Koszalinie, tak jak dziś, tylko wtedy siedzieliśmy w małej kawiarence o nazwie „Muszelka”. Dziś pijemy kawę w kawiarni, której wtedy jeszcze nie było. Nazywa się „Ratuszowa” i jest nowoczesna, choć nieprzystępna. Dom, w którym się mieści zbudowano, tak jak zresztą wszystkie sąsiednie, niedawno. Są ładne, kolorowe tynki rozjaśniają szarość ulicy, szerokie okna wystawowe przyciągają

Pamiętnijmy sobie te przyjaźnie od początku. Bo przecież niewiele wiemy o współpracy między Łodzią a Koszalinem i województwem.

Dalszy ciąg
na str.
6



Simone Signoret w scenie z filmu „Miejsce na górze”, o którym czytacie na ostatniej stronie.



Poznajcie!... Tak, to rzeczywiście Zofia Loren — grająca główną rolę w rewelacyjnym filmie włoskim „Ciocia”. Reżyserował doskonale znany w Polsce Vittorio de Sica, scenariusz napisał Cesare Zavattini wg. powieści Alberto Moravii. U nas powieść ta wyszła niedawno pt. „Matka i córka” — i od razu stała się bestsellerem wydawniczym. W świetnym podobno filmie de Sica — Zofia Loren stworzyła znakomitą — zdaniem krytyki włoskiej — kreację, w roli... matki. Inne wiadomości filmowe na str. 12.

STANISŁAW CZERNIE



Zapora wodna w prowincji Hofei

Wreszcie oczekiwana Huang-ho, istotnie żółta od gliny i mułu, potężne rzeczyssko, zachłanny wąż-smok czyhający na zdobycz.

Bez dziejów rzeki Huang-ho niepełna byłaby każda historia Chin. Od czterech tysięcy lat toczy się walka ludności z Żółtą Rzeką. Próby jej regulacji i ujęcia w karby wałów i zapor z reguły kończyły się klęską człowieka, zwycięstwem żywiołu. Rzeką kilkakrotnie przerywała obywatelstwo polskie. Ostatnie karty tych tragicznych dziejów przypadają na lata 1938 i 1947. Tym razem były to jednak katastrofy wywołane, a raczej zorganizowane przez człowieka. W 1938 roku rząd kuomintangowski, pragnąc powstrzymać napór armii japońskiej na Środkowe Chiny, rozkazał przerwać wały ochronne na Huang-ho. Rzeką zmieniła bieg i rzuciła się na południe, gdzie po-

Z Pekinu udaliśmy się na kilkudniowy pobyt do prowincji Anhwei. Jest to jedna z najbardziej „trudnych” prowincji. Leży niejako pod wodnymi zębami wielkiego smoka chińskiego, Huang-ho czyli Rzeki Żółtej. Potwór ten pospolicie nazywany „nie szczęściem Chin” niesłychanymi powodziami wyrł się w dzieje Państwa Środka. Ale prowincję Anhwei gnębią nie tylko powodzie. Drugą klęską stają się okresowe posuchy zamieniające w pustynie olbrzymie obszary ziemi.

Lecąc do Hofei, głównego miasta prowincji, ze szczególnym zainteresowaniem oczekiwaliśmy na widok prze klętej rzeki. Krajobraz smętny, równina bez końca. Bez lasów, bez zagajników, równina bezdrzewna, bo trudno uważać za zadrzewienie samotne drzewka, a choćby małe ich grupkę przy drodze. Rzucają się natomiast w oczy nawodnione pola ryżowe, wyglądające z wysoka jak nasze bajory podczas roztopów.

Dalszy ciąg
na str.
5

Gdy bocian przychodzi w gościnę...

CZY POJŚCIE DO PRACY PO URLOPIE MACIERZYŃSKIM BYŁO DLA PANI UCIAŻLIWE I DLACZEGO? CZY ZDARZYŁO SIĘ, ŻE PRZERWAŁA PANI PRACĘ NA DŁUŻSZY OKRES? JESLI TAK — CZY MIAŁA PANI TRUDNOŚCI Z PONOWNYM PRZYSTAPIENIEM DO PRACY ZAWODOWEJ? JAKIE TO BYŁY PRZESZKODY? CZY ZDANIEM PANI KOBIETA POWINNA PO URODZENIU DZIECKA PRZERWAĆ PRACĘ I NA JAK DŁUGI OKRES?

Takie pytania skierowała ekipa Ośrodka Badań Socjologicznych, działająca w Łodzi przy Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Włóknianek — do kobiet-matek zatrudnionych w przemyśle włókienniczym.

Informacje nadesłało 65 największych włókienniczych fabryk łódzkich, które zatrudniają około 114 tysięcy pracowników, w tym — 69 tysięcy kobiet. Jak z tego widać, badania objęły swoim zasięgiem niemal wszystkie zakłady przemysłu lekkiego z terenu naszego miasta.

W roku 1959 kartoteki Urzędu Stanu Cywilnego odnotowały, że w rodzinach łódzkich włókienniczych urodziło się 3.868 dzieci, to znaczy, że prawie 6 proc. kobiet zatrudnionych w łódzkich fabrykach włókienniczych zostało matkami. Najświeższe badania statystyczne stwierdzają, iż w tej grupie społecznej „pozycja” urodzin zamknęła się w ciągu trzech kwartałów roku 1960 liczbą 3.081 dzieci.

Zespół badawczy zwrócił specjalną uwagę na kobiety pracujące w trzech zakładach włókienniczych, a mianowicie ZPB im. St. Okrzei, ZPW im. Wł. Reymonta oraz ZPDz „Olimpia”. W zakładach tych pracuje 4.317 kobiet, z których 1.763 posiada dzieci do lat 14, przy czym z tej ostatniej grupy 910 kobiet ma tylko jedno dziecko, 634 — dwoje, a reszta — troje i więcej.

Zadano sobie także trud ustalenia co — od strony intelektualnej oraz zawodowej — reprezentują osoby, objęte badaniami. Okazało się, że prawie 80 proc. kobiet pracuje w zawodach podstawowych, a więc w takich jak prądka, tkacka, a tylko 3,4 proc. stanowi osoby wykonujące w swoich miejscach zatrudnienia czynności, jakie zwykliśmy nazywać umysłowymi.

Jakie jest ich wykształcenie? Ponad 54 proc. legitymuje się świadectwami ukończenia szkoły podstawowej, znaczna liczba kontynuowała przez pewien czas naukę w szkole średniej, 13 osób ma za sobą 11 klas, a jedna nawet wyższe studia.

Niestety, epoki odsetek tych kobiet legitymuje się zaledwie umiejętnością czytania i złożenia podpisu.

Pracuje 75 proc. badanych włókienniczek posiada mężów również pracujących zawodowo. Bardzo niki jest odsetek kobiet, mających kogoś do pomocy w wychowywaniu dzieci.

GŁOS MAJĄ KOBIETY

Pełna anonimowość oraz sam charakter odpowiedzi każą mi twierdzić, że zacytowane na wstępie pytania zostały szczerze potraktowane.

Zdecydowana większość podaje, że powrót do zajęć

zawodowych w fabryce łączy się z wieloma bardzo poważnymi trudnościami, a trudność największa to zapewnienie dziecku należytej opieki. Znaczna liczba osób oświadczyła, że bardzo uciążliwa jest codzienne odnośnienie dziecka do daleko położonego żłobka czy przedszkola. Kilka kobiet napisało: „Przystąpienie do pracy było dla mnie kłopotliwe ze względu na osłabienie organizmu i zły stan zdrowia”.

Z jakim przyjęciem w swoich zakładach spotykały się kobiety-włókiennice po urlopie macierzyńskim?

Na 234 wypowiedzi w tej sprawie — 158 osób stwierdziło: „Warunki mojej pracy nie uległy pogorszeniu”. Bardzo często spotyka się w ankiecie wzmianki o niezwykłym troskliwym stosunku kierownictwa fabryk do kobiet podejmujących pracę po urlopie macierzyńskim. Niemniej wypada dla pełnego obrazu wspomnieć, że u 41 kobiet nastąpiło zmniejszenie zarobku, 8 osób zmieniło stanowiska pracy, 8 nawet zawód.

Niezmiennie charakterystyczne są także inne, właściwie nie marginalne wyjątki. Np. tylko 27 kobiet spośród 234 nie zaznacza w swych wypowiedziach „rodzinnych trudności”, natomiast reszta mówi wyraźnie o zwiększonych kłopotach związanych z wykonywaniem obowiązku gospodyni domowej.

„Czy zdarzyło się, że po urodzeniu dziecka przerywała pani pracę na dłuższy okres? Jeśli tak to czy były trudności z ponownym przystąpieniem do pracy? Jakże?”

Z 267 kobiet aż 104 odpowiedziały na to pytanie — TAK.

Najczęściej spotykane kłopoty?

Trudności w znalezieniu pracy w ogóle bądź w swoim zawodzie, utrata prawa do miesięcznego urlopu wypoczynkowego, częste odmowy przyjęcia do pracy z uwagi na to, że posiadanie małego dziecka może być przyczyną wielu zwolnień lekarskich.

VOX POPULI

Jak długo powinien trwać okres przerwy w pracy zawodowej kobiety po urodzeniu dziecka — oto jeden z najciekawszych problemów powyższego badania.

Oto niektóre odpowiedzi: „Idąc do pracy na godzinę 5 rano wstawiałam już o trzeciej, by przed czwartą wyjść z dzieckiem, które zanosilałam do żłobka. A potem trzeba się było spieszyć by zdążyć na czas do pracy. Był to okres szczególnie uciążliwy, w szczególności zimą, gdy dziecko zerwane ze snu musiałam wynosić na mróz”.

„Noszenie dziecka do żłobka powodowało często choroby, a ja musiałam zostać w domu przy nim w domu. Traciłam wówczas podwójnie — otrzymywałam tylko 75 proc. wynagrodzenia, a przy tym były wydatki na lekarza”.

Wyniki ankiety potwier-

dają, że są to opinie ogólne.

Z liczby ponad 200 kobiet — 198 wypowiedziało się za przerwaniem pracy po urodzeniu dziecka na lat trzy, dalej — 44 osoby na jeden rok, a 26 na dwa lata. Jedynie 9 kobiet uważało, że nie zachodzi potrzeba przerwania pracy po urlopie macierzyńskim.

Biorąc udział w ankiecie nie ograniczyły się tylko do suchego stwierdzenia, ale uzupełniały je konkretnymi propozycjami. Tak np. bardzo często spotyka się zdanie, że kobieta przerwałaby pracę, gdyby miesięczny dochód rodziny „na głowę” kształtował się na poziomie 900 zł. Są także jeszcze inne postulaty, a przede wszystkim zachowania i prawnych wynikających z tzw. ciągłości pracy, propozycje nałożenia na zakłady obowiązku przyjmowania z powrotem do pracy kobiet, które skorzystały z takiego „urlopu”, zagwarantowanie im tych samych warunków zatrudnienia.

DRUGA STRONA MEDALU

Przeprowadzone badania wykazują, że sytuacja rodzinna kobiet mających za sobą urlop macierzyński decydująco wpływa na wyniki ich pracy zawodowej: wyjątkowo 19 osób przeanalizowanych w okresie 5 miesięcy przed urodzeniem dziecka i w 5 miesięcy po tym fakcie, wzrosła w tym ostatnim czasie u 4 kobiet, natomiast WYDATNIE ZMALAŁA U 15. Lekarzy fabryczni twierdzą, że u 6 kobiet przed urodzeniem dziecka opuszcza ją średnio 1—2 dni w miesiącu, to matki 3 a nawet więcej.

Interesujące jest stanowisko, jakie w tej sprawie zajęli przedstawiciele administracji zakładów. Cytuję oryginalne wypowiedzi: „Z chwila gdy lekarz zwalnia kobietę ciężarną do lepszej pracy to powierza ona pójść na urlop macierzyński, gdyż od tej chwili to ona przestaje już pracować. Wiedząc o tym, że

zakład nie może jej zwolnić w tym stanie, nie robi tłumacząc się słabością lub innymi dolegliwościami, a zakład zmuszony jest trzymać ją do chwili rozwiązania i płacić „średnią” z ostatnich 3 miesięcy”.

„Przeniesienie kobiety ciężarnej lub po urlopie macierzyńskim do lepszej pracy, stwarza konieczność przydzielenia na jej miejsce zastępców co w większości przypadków oznacza praktycznie podwojenie kosztów robocizny bez uzyskania efektów w postaci wydajności pracy”.

Opinia wyrażona przez dyrektora jednego z łódzkich zakładów — dziewiarskich: „Skrócenie czasu pracy kobiet karmiących związane jest z unieruchomieniem maszyn na jedną godzinę. Na takich oddziałach jak farbiarnie, przy maszynach dwuigłowych, dziurkarkach, struły takie mogą spowodować nawet niewykonanie planu produkcji”.

Wreszcie zdanie „Bawelny”: zatrudnianie kobiet karmiących powoduje sytuację, w której przy pełnym wykorzystaniu planowanego stanu zatrudnienia park maszynowy trzeciej zmiany nie jest całkowicie uruchomiony, ponieważ matki karmiące mogą pracować wyłącznie na dziennych zmianach. W związku z tym, że trudnienie zmian dziennych przekracza faktyczne potrzeby wynikające z obowiązków norm obsługi maszyn, powodując jednocześnie niedobór w obsadzie zmian nocnych.

W konkluzji przedstawiciele administracji i kierownictwa fabryk wyrażają pogląd, że przerwanie pracy przez kobiety, która urodziła dziecko przynosiłoby korzyść jedynie jak i drugiej stronie, a przyznaje proponowanych przez kobiety wólkniarki zmian prawnych przepisów jest możliwe i nie wymaga specjalnych nakładów.

NIC UJĄC. NIC DODAC. GDY... BOCIAN PRZYCHODZI W GOŚCINĘ — PRZED RODZINĄ, A PRZED WSZYSTKIM PRZED KOBIECĄ WYRASTAJĄCĄ NOWE SKOMPLIKOWANE SYTUACJE I PROBLEMY. TO DOŚĆ OCZYWISTE, PEWNYM NOVUM WYNIKAJĄCYM Z SONDAŻU OPINI I ZAINTERESOWANYCH JEST TO, ŻE WIELE MOŻNA KU OBOJÓWNIEMU ZADOWOLENIU I KORZYSCIOM Z PROBLEMÓW ZAŁATWIC.

pozwolił robić filmy fachowcom „szczególnie, że u nas są wcale nienajgorsi”.

„Uwierzyć — pisze dalej Dygat, — że film jest fachem, fachem trudnym, wymagającym wiedzy teoretycznej i doświadczenia praktycznego. W Nowym Yorku chodziłem na seminarium Wydziału Filmowego Uniwersytetu New York City. Różne dziewczyny o twarzach i kształtach „pin up girl”, kandydatki na przyszłe gwiazdy, których zdjęcia umieszcza się poza tym w naszych pismach nie wyrażając „filmu”, z erotycznym sztyretym i obrazliwymi komentarzami, posiadają tam, przysięgam wam, rzetelniejszą i głębszą wiedzę filmową (...) od pisarza, który, ufając swemu geniuszowi, przekonany jest, że potrafi zrobić wszystko, nawet to, czego nie umie”.

Redaktorzy filmu są wszakże przewrotni (a może myśla inaczej niż Dygat, co, w konsekwencji, oznaczałoby, że podejmują galę, na której siedzą?) i obok korespondencji autora „Podróż” zamieścili — czyżby jako komentarz? — także, bardzo piękne i warte prześmienia — przede wszystkim przez naszych, zwa-

(Dokończenie na str. 7)



JACEK LEDEN

Pierwsze dwadzieścia dni

John Kennedy nie przebrał jeszcze nawet przez swój miedowy prezydentowski miesiąc. Minęło dopiero 20 dni od chwili kiedy z szanowanego Waszyngtonu popłynął w świat głos nowego prezydenta wygłaszającego swoje pierwsze orędzie. Półmrok przed dwoma miesiącami, że świadectwo nowemu prezydentowi wydał dopiero pierwsze 100 dni jego władzy. Zwykła jednak niecierpliwość, trudno doczekać się tych 100 dni i dlatego próbuję pisać już dziś.

John Kennedy przemawiał w tym czasie czterokrotnie. Najpierw więc skłamał orędzie do narodu amerykańskiego, potem do Kongresu a następnie mówił na dwóch konferencjach prasowych. Orędzie do Kongresu najbardziej szczegółowe, wnikliwie, jest również najbardziej charakterystyczne. W orędziu tym nowy prezydent wykazał prawdziwy realizm jakże oddlegający od samouspekającego lakonicznego tonu, do którego przyzwyczailiśmy przyzwykli. Otóż słowa Kennedy'ego stanowią ocenę ekonomiczną USA: „Obecny stan gospodarki jest niepokojący. Obejmujemy władzę po 7 miesiącach recesji, 3 i pół lat inercji, 7 latach osłabienia tempa rozwoju ekonomicznego i 9 latach spadku dochodów z gospodarstw rolnych.

Bankructwa przedsiębiorstw osiągnęły najwyższy poziom od czasów wielkiej depresji. W 1951 roku dochody gospodarstw rolnych spadły o 25 proc. Z wyjątkiem krótkiego okresu w 1958 roku liczba bezrobotnych korzystających z zasiłków osiągnęła wielkość szczytową w historii.

Spośród jakichś 5,5 miliona Amerykanów bez stałego zajęcia ponad milion szuka pracy dłużej niż czterdzieści tygodni. A co miesiąc jakichś 180 tysięcy robotników traci prawo do i tak skąpego zasiłku dla bezrobotnych.

Blisko jedna ósma ludzi bez pracy żyje bez żadnej niemal nadziei w blisko 100 szczególnie dotkniętych rejonach. Reszta to absolwenci szkół, którzy nie mogą znaleźć zastosowania dla swych umiejętności, farmerzy zmuszeni do porzucenia dodatkowej pracy, pozwalającej zrównoważyć ich budżet, wykwalifikowani i niewykwalifikowani robotnicy, zwalniani z pracy w tak ważnych gałęziach przemysłu, jak metalurgia, przemysł budowy maszyn, przemysł odzieżowy.

Co więcej nasza rekon-

walescencja po recesji 1958 roku była anemiczna i niepełna. Nasz produkt narodowy brutto nigdy nie osiągnął swego pełnego potencjału. Bezrobocie nie powróciło do normalnego poziomu. Nigdy nie przywrócono maksymalnej zdolności produkcyjnej naszego przemysłu. Krótko mówiąc gospodarka amerykańska przeżywa trudności. Najbardziej zasobna, uprzemysłowiona gospodarka świata pod względem rozwoju ekonomicznego wlecze się na samym końcu”.

„Wystąpienie Kennedy'ego — stwierdza „Die Welt” — było świadomością przemysłową jako reakcja wstrząsowa w stosunku do Kongresu i kłafa aby przełamać nastój samozadowolenia w jakim od dawna żyją USA”.

Podobny realizm wykazał John Kennedy w ocenie sytuacji międzynarodowej. Stwierdził on: „Uważam, iż musimy poinformować Kongres, że z naszych analiz przeprowadzonych w ciągu ostatnich 10 dni wynika jasno, iż w każdym z podstawowych rejonów kryzysu fala wydarzeń płynie przeciwko nam, a czas nie jest naszym przyjacielem”.

Znacznie mniej realistyczne są wskazania na przyszłość. Kennedy w sprawach ekonomicznych nie wyszedł właściwie poza politykę administracji Eisenhowera, w sprawach międzynarodowych natomiast położył szczególny nacisk — tak jak się zresztą można było tego spodziewać — na zwiększenie militarnego potencjału Stanów Zjednoczonych.

Niemniej jednak typowym dla Kennedy'ego w pierwszych 20 dniach władzy jest cały zespół postaw, które uchyliły drzwi do rozmów ze Związkiem Radzieckim. Oficjalnie wydany zakaz lotów samolotów szpiegowskich nad terytorium Związku Radzieckiego w odpowiedzi na zwolnienie przez rząd ZSRR dwóch amerykańskich pilotów — to demonstracyjny krok dużej wagi. Odcina on w jakiś sposób Kennedy'ego od zimnowojennych praktyk Eisenhowera. Kennedy pokazał również wielki pazur wydając zakaz wojennym wygłaszania przemówień politycznych bez uzgodnienia z Departamentem Stanu. Najbardziej niebezpieczną siłą złożoną z tysięcy domorodnych Napoleonów został nałożony tłumik. I znowu nasuwa się porównanie z Eisenhowerem, który dał swym wojskowym absolutną swobodę i którego właśnie oni, często dezawgując wypowiedzi prezydenta, doprowadzili do manowce. Obraz całości uzupełnia oświadczenie Stevena stanowiące faktyczne zaproszenie do spotkania Chruszczowa-Kennedy w maju tego roku na wznowienie drugiej części obrad XV Sesji ONZ.

Wydaje mi się jednak, że najbardziej charakterystyczny jest plan odnośnie Konga.

Jest to plan 4-punktowy. Przewiduje on rozbrojenie wszystkich sił zbrojnych w Kongu, zwolnienie parlamentu kongijskiego, uwolnienie premiera Lumumby i innych przywódców politycznych i ewakuację z Konga formacji belgijskich. Niewątpliwie w tym planie widać zmianę sztywnego stanowiska Stanów Zjednoczonych, ale szary obywatel przyzwyczajony do rozmaitych zaakakujących wolt polityków zachodnich, ustankuje się do tych połączonych wtedy, kiedy zdadzą one egzamin w praktyce.



Doświadczenie kontrolne odtworzenia głowy Papuasa



Andrzej Bogolubski, XII wiek



Jarosław Mądry, XI wiek

W swoim czasie dużym powodzeniem cieszyła się powieść drukowana w „Ogonku”. Treścią jej była bardzo prosta historia. Organa milicji poszukiwały groźnego zbrojnego. Nagle przychodzi wiadomość: bandyta Urganow zginął — zamordowany w tundrze. Milicjanci mają jednak pewne wątpliwości, czy wiadomość ta nie jest tylko wybiegiem sprytnego przestępcy. Na północ wysłana kryminalna i przywozi z sobą czerep znaleziony w tundrze, należący jakoby do przestępcy. Milicja jest w posiadaniu zdjęcia Urganowa. W wyniku wielu prac badawczych i porównawczych dochodzi do wniosku, że zmarły, znaleziony w tundrze nie jest poszukiwanym przez nich zbrojnym. Dla pewności posyła przywiezioną czaszkę do uczono- Tarasowa, aby ten wyrył według niej portret. W miarę posuwania się pracy Tarasowa stawało się oczywiste, że znaleziony nieboszynek to nie Urganow.

Sensacyjna historia publikowana w popularnym magazynie nie może być źródłem do naukowych wniosków. Wyobraźnia pisarzy jest przecież niewyczerpana. Równocześnie nasuwa się jednak wniosek, że wielu uczonych, a szczególnie archeologów, umiejętność profesora Tarasowa oddałaby nieocenione usługi. Paleontolog, co prawda, od dawna już rekonstruuje według najniższych nawet szczątków postacie zwierząt. Słynny Curvier stwierdził w swoim czasie, że wystarczy mu jeden ząb, aby mógł sobie wyobrazić portret stworzenia. Wydaje się, że tę samą metodę można by zastosować w stosunku do człowieka. Na pozór tak, ale należy pamiętać, że przy odtworzeniu postaci zwierzęcia, zadowolimy się ogólnym „typowym” podobieństwem. Wystarczy np., że uczone ulepi podobiznę krowy, nikomu nie przyjdzie na myśl żądać, aby była to konkretnie jakaś Krowa. Co zaś dotyczy podobizny człowieka, to posiada ogromne znaczenie odtworzenie rasy, narodowości, wreszcie rodzinnego podobieństwa. Gdyby profesor Tarasow odtworzył w dostarczanej czasce portret człowieka jako takiego, to jego praca nie miałaby dla kryminalistów żadnej wartości. Musiał on ulepić (i zdaniem autorów ulepił) podobiznę konkretnego człowieka, którego zidentyfikowanie potwierdziło domysły organów śledczych.

Sięgnijmy jeszcze raz do „Ogonka”. Nr 21 z 1956 roku. Znajdziemy tam kronikarską notatkę o działalności milicji. W notatce tej napisano o pracy adiunkta Wojskowej Akademii Medycznej, W. P. Pietrowa, który odtworzył „model” twarzy zabitego (trup był w pełnym rozkładzie) tak wiernie, że umożliwiło to rozpoznanie ofiary przez matkę.

Wynika z tego, że historia opowiedziana przez autorów sensacyjnej powieści nie była zmyślona. Co prawda W. P. Pietrow miał do czynienia z całą głową — chociaż zniekształconą przez rozkład — a nie z czaszką, jak prof. Tarasow.

autorzy mieli na myśli naukowca archeologa, antropologa i rzeźbiarza Michaila Gierasimowa. W obszernej pracy „Rekonstrukcja twarzy według czaszki” wyłożył M. Gierasimow podstawy swej teorii. Książka ta, licząca 600 stron, w 90 proc. składa się z tablic, wykresów i liczb.

Przez długi czas uczeni nie ryzykowali nawet podjęcia prób nad odtwarzaniem portretów ludzi według odnalezionych szczątków. Odwrotności próby czasami udawały się. W początku ubiegłego wieku, w dwadzieścia jeden lat po śmierci Schillera odkryto kryptę, gdzie był on pochowany. Znalezione tam jednak dwadzieścia trzy szkielety. Który z nich należał do Schillera? Jedną z czaszek porównano z pośmiertnym odlewem gipsowym twarzy poety. Ale zdania uczonych były podzielone. Spór trwał cztery lata. Dopiero przy powtórnym od-

burgów wyróżniało się pokazywalnymi, mięsistymi nosami. Czy z tego powodu czaszki ich tak bardzo różnią się od siebie? A usta? Bourboni npsłynęli ze swej mięsistej dolnej wargi. Stanowiła ona bezsprzecznie cechę charakterystyczną całego rodu. Czy wynika z tego, iż na widok czaszki Bourbonów, czy Habsburgów każdy z miejsca określi, że ludzi tych cechowała mięsista warga, czy potężny nos?

Problem był o tyle trudniejszy, że większość anatomów XIX i XX wieku zupełnie nie zajmowała się zagadnieniem współzależności między budową czaszki a wyglądem twarzy. Niektórzy z nich wręcz zaprzeczali możliwości istnienia podobnych stosunków. Musiano przeprowadzić ogromną pracę badawczą, aby obalić to przekonanie. Dopiero po wielu doświadczeniach można było stwierdzić, że okre-

ganów śledczych i do archiwów instytucji naukowych.

1940 rok. Katedra Medycyny Sądowej jednej z wyższych uczelni Moskwy przeprowadza ciekawy eksperyment. W prosekutorium instytutu przeprowadza się sekcję nieboszyków przystanych z kostnicy. Najczęściej są to ludzie, którzy zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, samotni, nierozpoznani. Dlatego właśnie każdy osobnik przed sekcją jest fotografowany. Dokładna sekcja najczęściej likwiduje trup. W omawianym wypadku postąpiono inaczej. Dwanaście czaszek zachowano w całości i wysłano do Leningradu. Gierasimowowi zaproponowano odtworzenie twarzy tych nieżyjących już ludzi. Ich fotografie i opisy zostały oczywiście w Moskwie.

Praca została wykonana. Na trzech konferencjach

rezebiarz-antropolog zademonstrował ulepione głowy i we wszystkich dwunastu przypadkach sędziowie musieli stwierdzić, że są to twarze ludzi, których czaszki przysłano. Gierasimow nie wiedząc absolutnie czyje czaszki mu dano, wg czaszki Chińczyka odtworzył twarz Chińczyka, kobiety — kobietę itp. Czy należy się dziwić, że uczeni — antropologowie, etnografowie, archeologowie odnieśli się do badań Gierasimowa z wielkim zainteresowaniem?

Kilka dalszych prac i doświadczeń Gierasimowa udowodniło, że rekonstrukcja twarzy według czaszki jest realna. Ale czy metody, które zdały egzamin przy odtwarzaniu portretów ludzi współczesnych przydadzą się przy rekonstrukcji twarzy ludzi prehistorycznych? Czy zależność między budową czaszki a tkankami miękkimi jest czymś niezmiennym? A może każda rasa, każda epoka posiada swoje niepowtarzalne prawidłowości? Należałoby udowodnić uniwersalność teorii o rekonstrukcji twarzy.

W 1939 roku przysłano Gierasimowowi z Muzeum Antropologicznego w Moskwie czaszkę z prośbą o rekonstrukcję. Nie założono żadnych danych. Ani o narodowości, ani o płeć. Nie podano nawet miejsca znalezienia człowieka.

W miarę posuwania się pracy uczono, który stosował swe poprzednie obliczenia i sposoby, wyłaniała się twarz o grubych wystają-

Wyrzeźbił głowę człowieka zmarłego przed wiekami. Sporo miał kłopotów z odtworzeniem stroju, uczesania, zarostu. Sęgnął do fresków miniatur, do znalezisk archeologicznych z owego okresu. Powstała rzeźba przedstawiająca władcę starca, o głęboko osadzonych mądrych oczach z charakterystyczną „klinowatą” brodą. Zdarzyła się wtedy dziwna historia. W soborze św. Sofii zbudowanym za czasów Jarosława restauratorzy odnaleźli pod tynkami stary fresk, na którym pośrodku umieszczono postać w książęcym ubiorze. Miała ona głęboko osadzone oczy i klinowatą brodę. Nie ulegało wątpliwości, że był to książę Jarosław. Sukces uczono- go okazał się bezsporny.

Znamy wszyscy przysłowie: od wielkości do śmieszności — jeden krok. Oto jaka historia przydarzyła się Gierasimowowi wkrótce po zakończeniu pracy nad głową Jarosława Mądrego.

Dzięki niej uczone zdobył sobie popularność i uznanie w świecie naukowym. Ale do sławy było jeszcze daleko. Pewnego dnia zgłosił się do domu Gierasimowa bardzo poważny, można by rzec stateczny chłopiec w pionierskiej chustce. Przedstawił się jako korespondent „Pionierskiej Prawdy” i poprosił o wywiad. Uczony, obdarzony dużym poczuciem humoru, nie wstydził się przyznać, że był tym wzruszony i ucieszony. Gazety nie pieściły go zbyt swą uwagą.

Długo trwała rozmowa z młodym „korespondentem”, wreszcie chłopiec wstał, grzecznie podziękował i przy obiecał, że jak tylko artykuł się ukaże, to natychmiast dostarczy go uczonemu. Przez długi czas rzeźbiarz ani artykułu ani korespondenta nie doczekał się. Zresztą zajęty codzienną pracą po prostu zapomniał o tej trochę śmiesznej historii. Jak grom z jasnego nieba zaskoczył go telegram z Taszkentu z zaproszeniem na rozkopanie grobu Wielkiego Timura Tamerlana. Chciano według szczątków odtworzyć jego twarz, gdyż Timur, jako wierny syn pro roka, nie pozwolił się portretować. Mahometanizm bowiem zabrania odtwarzania postaci ludzkich.

Już w Taszkencie, w gościnie u przyjaciela, znanego rzeźbiarza, toczyła się przy stole interesująca rozmowa. Uczony rozpytywał co spowodowało, że zainteresowano się „Biczem Bożym”.

— Wszystkiemu winna jest ona — odpowiedział gospodarz, i wskazał na swą córeczkę. — Kiedyś rozmawiałem przy obiedzie ze znajomym o historii Uzbekistanu. Wspomnieliśmy Timura. Wtedy odezwała się ona: „Tatusiu, czytałeś? Uczony Gierasimow będzie rekonstruować według czaszki twarz Timura”. Byliśmy ogromnie zdziwieni. Timur pochowany jest u nas, w Samarkandzie. Jakże więc my o tym nic nie wiemy?

Okazało się, że to „Pionierska Prawda” podała tę wiadomość. Ciążył się nam ogromnie spodobała i dlatego zaprosiliśmy Was.

Gierasimow był zdumiony. Nikomu nigdy nie wspominał o czasce Timura. Poprosił o pokazanie mu gazety. Sprawa się wyjaśniła. Okazało się, że dwunastoletniemu „korespondentowi” nie wystarczyły wiadomości podane przez uczono, i na zakończenie wywiadu podał: „Obecnie M. M. Gierasimow marzy o rekonstrukcji twarzy Wielkiego Timura”. Dlaczego właśnie Timura? Być może chłopiec był pod wrażeniem książki Gajdara „Timur i jego drużyna”. Tak właśnie od śmieznego przypadku zaczęła się poważna sprawa. Powstał pierwszy w świecie portret Tamerlana.

Jako ciekawostkę warto podać, że nawet, teraz, tyle wieków po śmierci, osoba Tamerlana niepokoiła wyobraźnię ludzką. W kilka dni po rozkopaniu grobu Timura wybuchła wojna z Niemcami. Starzy Uzbeki kiwali głowami: „Wielkiego zabójcę wypuścili na wolność, i znów na świecie połała się krew”.

W Samarkandzie, nad wejściem do meczetu Bibi-Chanym, zbudowanego za czasów Timura widnieje napis — błąd, może śmieszny, może mądry. Budowniczy zamierzał wykuć zdanie „Timur jest cieniem Boga na ziemi”, ale źle wyliczył rozkład liter i zmieścił tylko pół zdania „Timur jest cieniem”. Wspaniała umiejętność Gierasimowa przywróciła cieniu twarz. I nauka jest mu za to wdzięczna.

Według „Za siedmioma pieczęciami”

TI-MUR JEST CIENIEM

kryciu krypty odnaleziono czaszkę, której wymiary dokładnie zgadzały się z maską.

W podobny sposób rozpoznano szczątki wielu wybitnych osobistości, jak np. Heyadna, Bacha, Dantego, Goethego, Kanta i Cromwella.

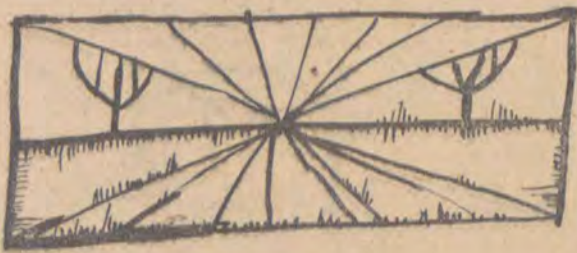
Wszystkie te fakty z archeologią mają niewiele wspólnego. Przed archeologiem bowiem staje z reguły odwrotne zadanie. Należy odtworzyć portret według znalezionej czaszki, a nie rozpoznawanie szczątków przez porównanie z istniejącym portretem. Już w XIX wieku usiłowano rozwiązać to zadanie. Ówczesna antropologia rozróżniała już różne typy czaszek. Czerepy Murzynów, Mongołów, Europejczyków, różniły się między sobą pewnymi cechami. Suma anatomii głowy człowieka pozwalała wnioskować, że między układem kostnym czaszki, a wyglądem twarzy na pewno istnieje jakaś prawidłowa współzależność.

Niektóre rysy rozpoznać łatwo. Oczywiście jest, że wydłużonej czaszce odpowiada wydłużona głowa. Czerep Sokratesa nie mógł należeć do człowieka z niskim czołem. Jeśli za życia miał duży osobnik wysunięty naprzód zęby, to jasne jest, że czaszka jego nie może posiadać innego zgrzytu. Czyż można jednak według budowy czaszki odtworzyć rysy twarzy zbudowane z tkanek miękkich i chrząstek? Imperator Paweł I miał niezwykle zadarty nos, a wielu Habs-

łona budowa czaszki odpowiada określonej twarzy. U człowieka z zadartym nosem występuje swoista kość nosowa, inna niż np. u człowieka z nosem orlim. Ale takie stwierdzenie nie wystarczyło. Należało znaleźć współzależności zachodzące między budową czaszki, a układem tkanek i mięśni na twarzy. Znaleźć stały stosunek liczbowy między układem kości czaszki a budową i kształtem nosa, policzków, ust itd.

Dopóki problemy te były nierozwiązane, wszelkie próby odtworzenia wyglądu człowieka według jego czaszki zależne były od przypadku. Założmy, że podstawowe powiązania są nam znane. Zostaje jednak konieczność znalezienia praktycznych rozwiązań, metodę opracowania podobizny człowieka niegdyś żyjącego, na podstawie budowy jego czaszki.

Można by już bez trudu udowodnić, że taka metoda istnieje. Wystarczyłoby bowiem iść „ślad w ślad” za M. Gierasimowem, pilnie śledząc jego doświadczenia i ich wyniki. Ale ciekawsza wydaje się być inna droga. Wpierw poznamy wyniki, a potem, jeśli zajdzie potrzeba cofniemy się, aby zobaczyć jaką drogą szedł uczone. Ciekawe rezultaty osiągnęli badacze w dwóch kranicach różnych dziedzinach — w archeologii i w kryminologii. Cel pracy tych ludzi jest zupełnie różny, ale rezultat okazał się jednakowy. Sięgnijmy więc do archiwów or-



JERZY DAGOBERT

Antykwariat „U Swanna”

Dnia 13 maja 1944 roku radio londyńskie nadało suchy lakoniczny komunikat: „W tych dniach zbombardowano miejsce postojów nieprzyjacielskiej dywizji pancernej „Hohenstaufen”. Zniszczono ponad 400 czołgów”.

Jak wyglądały kulisy zagłady tej wyborowej dywizji hitlerowskiej, rozpracowanej przez ludzi francuskiego podziemia?

ANTYKWARIAT „U SWANNA”

Nikogo specjalnie nie zdziwiło otwarcie nowego antykwariatu przy ul. Comban 49 w Paryżu. Nie był wtedy ani pierwszym, ani ostatnim, a że w małym sklepie zawsze było pełno ładnych i rzadkich antyków, klientów nie brakło. Nic dziwnego, Paryż był wówczas pełen ludzi, którzy nie mieli co robić z pieniędzmi.

Jednakże ciekawy obser-

wator zauważyłby, że właściciel antykwariatu, niejaki pan Sebastiani, nie cieszył się zbyt z rozbicia swojej placówki. Konkurenci wzruszali ramionami i mówili: Amator, nie antykwarium — wcześniej czy później się wykończy.

Prawdę mówiąc, pan Sebastiani nie był nigdy antykwarem. Kończył wprawdzie wyższe studia, ale w słynnej akademii wojskowej Saint Cyr i nazywał się w rzeczywistości Hubert de Legarde, a antykwariat „U Swanna” był zakonspirowaną placówką wywiadu francuskiego podziemia, wyposażoną w pracownię rysunkową, laboratorium fotograficzne i skład broni.

Ta właśnie placówka zwana „Eleuthere” rozpracowywała w przededniu inwazji niemieckiej zgrupowania pancerne we Francji.

Z sympatycznym „Sebastiani” współpracowali:

Pierre Nord — w rzeczywistości pułkownik Brouillard z II Bureau oraz młodzi oficerowie lotnictwa — Hilaire i Gourmez.

Zorganizowana sieć współpracowników „Eleuthere” podzielona na samodzielne sekcje „Arka” i „Saul”, rozpracowała w krótkim czasie kilka departamentów, na terenie których zauważono koncentrację niemieckich jednostek pancernych.

Wydańność „Eleuthere” była doskonała. Prowadzono dokładną ewidencję jednostek niemieckich; m. in. zidentyfikowano skład V-I na terenie Marny, rozpracowano wielkie magazyny z częściami zapasowymi broni pancernej w Epernay i odkryto zakłady remontowe czołgów, które Niemcy instalowali w piwnicach w twórnicy szampa Mercier. Sporządzano dokładne plany umocnień polowych, mianowicie pozycji zapasowych, przygotowywanych przez Niemców na liniach Reims — Epernay. Ale główna uwaga „Eleuthere” skupiona była na dywizjach pancernych, które Niemcy gromadzili w oczekiwaniu na inwazję.

Wiadomość, jaka dotarła do „Swanna” w początkach marca 1944 roku postawiła całą placówkę w stan gotowości. Agenci „Arki 2” donieśli o koncentracji rze rozpoznanie dywizji pancernej SS na terenie dawnej francuskiej szkoły pancernej w Maillly.

Późniejsze obserwacje ustaliły, że była to wyborowa dywizja pancernej SS „Hohenstaufen”.

OCZEKIWANIE

23 i 30 marca przekazano do Londynu pierwsze raporty radiowe o zgrupowaniu niemieckim. Od tego dnia „SS Panzer-Division Hohenstaufen” jest pod baczna obserwacją ludzi z „Eleuthere”. Pod koniec kwietnia agenci „Arki 2” donieśli o wielkiej koncentracji lor do przewozu czołgów i wagonów kolejowych w rejonie Maillly.

Zgrupowanie około 2.000 wagonów mogło oznaczać tylko jedno: przygotowanie do ewakuacji dywizji. Trzeba było się spieszyć.

Znów zawiadomiono Lon-

dyn. Odpowiedź przyszła natychmiast.

— Obserwować nadal; gdy nastąpi załadunek, meldować o ewentualnych zmianach. A zmiany następowały błyskawicznie. Niemcy widocznie poculi, co się święci. Zbyt częste loty alianckich samolotów rozpoznawczych nad terenem Maillly nie wróżyły nic dobrego. Postanowili zmienić miejsce postoju. W ostatnich dniach kwietnia rozpoczęło się załadowywanie dywizji.

Spodziewane jednak naloty alianatów na dywizję nie następowały. W dodatku stracono wszelką łączność z agentami „Arki” i „Saula”.

Wreszcie 29 kwietnia przychodzi zaszyfrowany telegram: „Dywizja Hohenstaufen wyrusza dziś z Maillly w kierunku wschodnim. R. A. E. 218”.

Natychmiast zawiadomiono Londyn. Chodziło przecież o jedną szóstą niemieckich sił pancernych we Francji.

I znów następuje okres niepewności. Nie sposób się czegośkolwiek dowiedzieć. Wysłani łącznicy przepadają bez śladu. Nie wiadomo, czy Niemcy zdążyli umknąć przed zagładą czy też Anglicy zniszczyli te przekłete gniazda os.

Toteż w początkach maja wśród ludzi z „Eleuthere” panował nastrój przygnębienia. Nie było wiadomości z terenu. Londyn również milczał.

Dopiero rano 4 maja nadpływa konkretny meldunek: „Rzeczywisty odjazd załadowanej dywizji w 60 pociągach rozpoczęło się w nocy z 4 na 5 maja. Kierunek nieznan”. Ludzie z „Eleuthere” nie tracą głowy. Wyborowa dywizja SS ma rozpocząć ewakuację następnej nocy. Istnieje więc jeszcze szansa, by zadać skuteczny cios. Nie należy jednak tracić ani sekundy. „Sidney” pędzi na rowerze do Chaville i tam razem z radiooperatorem decydują się mimo obecności niemieckich posterunków goniometrycznych nadąć krótki meldunek do Londynu.

ZAGŁADA

Samoloty leciały bardzo nisko. Były niewidoczne na tle jasnego nieba. Pierwsze



bomby trafiły dokładnie w cel. Potężne cielska czołgów poruszane olbrzymią mocą wylatywały w powietrze i rozdarły eksplozjami wirowały jak polamane zabawki. Płonęła benzyna. Eksplozowała amunicja. A samolotów było coraz więcej. Z niskiego koszącego lotu atakowały każdy cel. Nawet uciekający w pole żołnierze padali pod seriami broni pokładowej. Dopiero po pierwszym zaskoczeniu odezwała się niemiecka „Flakartillerie”.

Następne eskadry ciężkich bombowców eskortowanych przez Moskity atakowały sam teren obozu w Maillly, gdzie ukryty był jeszcze zapasowy sprzęt wojenny i składy benzyny i amunicji. Potężne eksplozje raz po raz wstrząsały okolicą. Wszystko dookoła płonęło: lasy sosnowe, wokół Maillly, składy benzyny. Eksplozowały magazyny amunicji. Piekiło.

Oszałeli z przerażenia esesowcy biegali na oślep po polach. Znajdowano ich potem w promieniu 10 km. Dywizja pancernej „SS Hohenstaufen” przestała istnieć.

W parę dni potem w antykwariacie „U Swanna” współpracownicy placówki „Eleuthere” słuchali z przejęciem pierwszego meldunku o zagładzie niemieckiej dywizji pancernej, wysyłanego do Londynu.

„Epernay 12 maja 1944. R. A. E. 191. Bombardowanie trwało 45 minut, zostało przeprowadzone po mistrzowsku, szczególnie z

lotu koszącego. Było kilkadziesiąt wypadków zderzenia samolotów w powietrzu: ogień obrony przeciwlotniczej myśliwców spowodował straty (35 samolotów alianckich straconych).

Wioska Maillly została całkowicie oszczędzona przez pilotów alianckich. Straty cywilnych nie ma. Jedna obóz jeńców północno-atlantyckich włączony do Maillly został trafiony... Samoloty alianckie zaatakowały najpierw bombami zapalającymi zrzucając je na lotniskach, w których ukryty był sprzęt. Obóz stał otoczony wieńcem ognia, który uniemożliwił ucieczkę, po czym nastąpił atak bombami eksplozywnymi.

W wyniku operacji zniszczono prawie całą dywizję. Padło 10 do 12.000 ludzi, ponad 400 czołgów zostało zniszczonych lub spalonych, poza tym duża ilość sprzętu aut ciężkich i lekkich.

Pierwszy transport, który opuścił Maillly w kierunku Soissons, składał się z czołgów — to wszystko, co udało się wywieźć „Hohenstaufen”.

Wszyscy są głęboko wzruszeni. Zebrane dane są dokładnie sprawdzone. Nie przyszło to łatwo. Niemcy usiłowali pomniejszyć straty, niemniej cios był bardzo bolesny.

Wyborowa dywizja pancernej SS nie wzięła już udziału w czasie walk inwazyjnych.



JERZY POKROWSKI

Od rzemyczka do koziczka

To miejsce, gdzie się już kończy prawo, a jeszcze bezprawie nie zaczyna. To miejsce, gdzie stało się bezprawie, a jeszcze nie można sprawców pociągnąć do odpowiedzialności. Stan gotowości do popełnienia czynu lub szeregu czynów, które nazywamy chuligaństwem lub bandytyzmem — jakże często zbyt pochopnie używając tego łagodniejszego określenia, jakże często pobożając temu stanowi. Moment zacisnięcia pięści, moment gotowości do uderzenia, do uderzenia w twarz drugiego człowieka. Do uderzenia zadanego z zimnym, wyrachowanym zamiarem wyrządzenia mu krzywdy, wybitcia zębów, zakrwawienia, rzucenia na ziemię, a potem jeszcze kopania w głowę. Moment przed zranieniem go ciężką butelką po lichym winie lub tzw. „gazurką”.

Tu gdzieś się kończy prawo, a zaczyna bezprawie. Jeszcze się nie stało, stoisz człowieku, twarz w twarz

z chuliganem, z potencjalnym bandytą, którego jeszcze nie ma za co zaarrestować i sądzić. Stoisz na przeciw niego wiedząc, że on chce ciebie uderzyć, a nie wiesz co robić, aby tego uderzenia uniknąć. Znalazłeś się w jednej klatce z dzikim zwierzęciem, które wprawdzie ma o wiele lżejszy mózg od ciebie, człowieku, ale za to twardsze mięśnie. Znasz te sytuacje, prawda? Zobacz je jeszcze raz.

Niedzielne popołudnie. Zima. W małym kinie tuż przed rozpoczęciem seansu grupka dorodnych młodzieńców w wieku 17-20 lat. Podniszczone, ale modne, bo wąskie portki, tepe, chamskie pyski. Siedzą w jednym rzędzie, zachowują się tak, jakby oprócz nich nikogo tu nie było. Opowiadają sobie kawały, ryczą zdrowym, bardzo donośnym śmiechem. Wszyscy oprócz nich milkną, sala jeży się przecuciem niebezpieczeństwa. Młodzieńcy pozornie nie zwracają uwagi na otoczenie. Ale niech ktoś spróbuje krzywo spojrzeć, zwrócić im uwagę. Usłyszy pewnie krótką opinię o sobie, może po zakończeniu seansu zaczekają pod kinem, w ciemnej uliczce, aby dokończyć rozmowę z nie-

ostrożnym. Nikt więc nie interweniuje. Potem młodzieńcy w swoisty sposób bardzo głośno komentują film, czasem dla siebie tylko wiadomych powodów wybuchają rykiem. Film kończy się. Publiczność wychodzi. 200 osób miało zepsuta przyjemność. Wieczór. Tania restauracja lub pijalnia piwa. Znów grupka młodzieńców. Dyskutowa. O tym, że dyskutują wiesz z żywych gestów i gęsto dołatujących słów, które ostatnio nie często dostają się na karty książek i łamy gazet. Jeśli nie ma w tym lokalu wódki przynioszą ją czasem w tzw. „piersiówkach”. Omiłuj ich ostrożnie, człowieku. Nie patrz na nich zbyt długo. Oni są naładowani młodzieńczością i energią. Ta młodzieńczość i ta energia może się łatwo wyladować na tobie.

Późny wieczór. Najbardziej zatłoczony odcinek Piotrkowskiej. Ulica idzie, zataczają się, facet, wpada na ludzi, potrąca ich. Gdybyś mu się uważnie przyjrzał, przechodniu, zobaczyłbyś, że wcale nie jest tak pijany jak to na pierwszy rzut oka wygląda. To wabik. Nie próbuj się za nim przechodniu ogładać, nawet gdybyś się potrącił, nie próbuj tym bardziej zwrócić mu uwagi. Nie wi-

dzisz, że za nim idzie trzech lub czterech jego serdecznych kolegów i czeka właśnie na to, abyś się „naraził”. Jeśli się tak stanie, spadnie na ciebie kilka uderzeń, potem oni wpadną do jakiejś bramy i nie pomoże nawet to, że zwrócisz się do milicjanta. Milicjant ich nie znajdzie, oni już nie raz trenowali taką rozrywkę, znają tu każdą bramę.

Spotkasz ich na każdej ulicy, nie codziennie, oczywiście, spotkasz ich jednak często. Jeśli idziesz z kobietą, będą szli za wami, zaczepiali was, zela was grubymi słowami. Uważaj, nie wolno ci odpowiedzieć.

Spotkasz ich w wielu łódzkich kawiarniach, siedzą sami albo ze swoimi samicami. Pozornie niczym nie różniący się od innych ludzi, ale przecież tworzą wokół siebie atmosferę niepokoju, niebezpieczeństwa. Siedzą, piją kawę, tanie wino, rozmawiają o czymś — może o sztuce znajdowania pretekstów? A może jeden z nich opowiada właśnie o tym, że znów nie im nie zrobiło Kolegium Orzekające, że byli grzeszni odpowiadając na pytania, grzeszni, cisi i przymilni, a potem już po wyjściu na ulicę zdjęli te maski, wybu-

chając śmiechem triumfu. Może jeden z nich powtarza czyjeś słowa: „nie im nie możemy zrobić, nie złapałbyś ich za rękę, nie mamy żadnego dowodu. To właśnie oni są w lecie postrachem parków, to oni są najsilniejsi na zabawach ogłaszanych kilkoma słowami ręcznie wypisanymi na lichym papierze, to właśnie oni organizują lotne ekipy grasujące na studentek zabawach. Może to oni właśnie:

Idą we dwóch. Ulica jest ciemna. Spotykają ciebie, przechodniu, zatrzymują cię. Słyszysz: „daj pan dyche na wino”. Dasz? Nie dasz? Radzę ci, daj! Bo jeśli nie, zainkasujesz celne, twarde uderzenie. Prawidłowy cios bokserki, uderzenie „bykiem”, lub kopnięcie w genitalia. Dostyć! Stop! Tu skończyło się prawo. To już akt brutalnego gwałtu.

Mądre są ludowe przysłowia. Jedno z nich mówi: „Od rzemyczka do koziczka”. Zaczyna się od porannego wyjścia na ulicę, od nudy rozpraszanej wypiciem wina za 15 zł. Po nim jest już inaczaj, pewniej i silniej; dominiuje uczucie wyrażone przez zwrot „kto mi zaszczyca”? Nikt? Poszukajmy tego kogoś. Ale bywa i inaczej. Bywają wojny krwawe i długotrwałe. Górniak na Rude, Widzew na Bałuty, dzielnica na dzielnice, ulica na ulicę — bitwy, w których ofiary liczy się na dziesiątki. Początków waśni nikt już wprawdzie nie pamięta, ale

za to pamięta się, kto jest wrogiem.

Bywa też jeszcze inaczej, istnieje zemsta za ingerencję z zewnątrz. Reporter zdemantował nielegalny wyszynk wódek, prywatny sklepik, gdzie się sprzedawało „oranżadówki”. Napisał o tym. W mieszkaniu potem uderzono butelką w głowę, leżącemu kopano w nerki. Wytłumaczono mu jeszcze, czemu za wdzięcza tego rodzaju zainteresowanie swoją osobą. Swojego rodzaju elegancja w załatwianiu sprawy. Fakt niestety, autentyczny.

Nie ma potrzeby mnożenia przykładów na przekroczenie granicy prawa. Nie ma niemal dnia, w którym prasie nie doniosłaby o takich wypadkach. Wypadkach nożownictwa, brutalnych napadów na niewinnych ludzi. Nie ma niemal dnia, w którym lekarze nie opatrzywaliby zbitych poranionych ludzi. Ludzi niewinnych i spokojnych.

Latwo jest sądzić winowatego za przekroczenie prawa. Co zrobić jednak z tymi, którzy go jeszcze nie przekroczyli? Co zrobić widząc, że mądre jest ludowe przysłowienie „od rzemyczka do koziczka”? Sądzenie w trybie doraźnym. Surowe wyroki chuligaństwa i bandytyzmu. Czy to już wystarczy? Co zrobić, aby nie wrócić do czasów carskiej Rosji, gdzie jeden z sądowych paragrafów pozwalał sędziemu skazywać tylko na podstawie „wewnętrznej przekonania”. Naradzmy się. Od tego zależy nasz spokój.



(Dalszy ciąg ze str. 1)

toczyła się nowym korytem do Morza Żółtego. Zginęło wtedy czterysta siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Na brzegach starego koryta powstały nowe osiedla, w których dwieście tysięcy chłopów uprawiało żyzną ziemię dawnego dna rzeki. Za to nad nowym korytem wzmożły się powodzie. W 1947 roku Kuomintang przeprowadził naprawę zniszczonego poprzednio wału i Huang-ho skierowana została do dawnego koryta, zatapiając połacie dwustu tysięcy rolników. Rząd Chińskiej Republiki Ludowej przygotowuje ostateczne rozwiązanie uregulowania Rzeki Żółtej. Ołbrzymie to zadanie. Nie chodzi tylko o budowę wałów kamiennych, to ważna, ale mniejsza sprawa. Powstaną kanały odprowadzające część wód Huang-ho do innych rzek. Powstaną urządzenia regulujące poziom wody. Zostanie przedłużone koryto rzeki w głąb morza, by usunąć gromadzenie się namuliny przy ujściu rzeki. Zostaną zalane obszary w celu zatrzymywania wód opadowych. Jest więc nadzieja, że straszliwa rzeka poddana będzie ostatecznie człowiekowi.



To wszystko — ponad naszą europejską wyobraźnię.

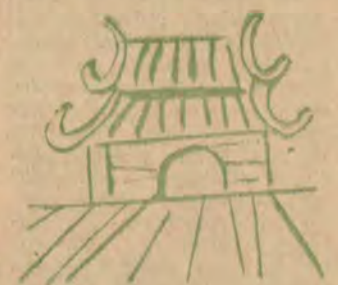
Hofei — miasto o błyskawicznym rozwoju. Przed wyzwoleniem liczyło pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, dziś pięćset siedemdziesiąt. Przedtem w elektrowni i kilku drobnych fabryczkach pracowało łącznie zaledwie kilkuset robotników, dziś w ponad czterystu zakładach — dwieście tysięcy. A jest nie tylko miastem przemysłowym. Oto uniwersytet, a kdemia rolnicza, wyższa szkoła pedagogiczna, akademia hutnicza. Miasto nowe, rozbudowuje się na wszystkie strony. Cegły, cegły, cegły. Za jakiś czas cegły zamienione w budowlę zastąpią lub usuną resztki starego miasta, którego budulcem była przede wszystkim glina. Te stare domki, niemal szopy gliniane, lepianki ubogie i smutne, pozostają świadectwem przeszłości. Będą w nich mieszkać ludzie pewnie jeszcze przez lata, nie sposób przecież od

Zatrzymujemy się w „domu na wzgórzu”. Nie bardzo wiem, co to jest. Hofei, nie hotel? Dom dla gości rządowych, dla cudzoziemców? Całe wzgórze zadrzewione — rzadkość tutaj. Spokój, cisza. Przyjemna pogoda. Tu, bardziej na południu, jesień przychodzi później niż w Pekinie. W słońcu na tarasie — rzędem stoją wypielęgnowane chryzantemy. Siadam na chwilę wśród kwiatów. Towarzyszą mi pszczoły. Zbierają z chryzantem ostatni miód w tym roku. Tak mi to wydawało się dziwne — pszczoły i chryzantemy. I cisza — po tym zamęcie widzianym w mieście, po tym osobliwym „ruchu pracy”, którego widok i wspomnienie niepokoi. Ogarnięty znużeniem po podróży, po ciągłych wycieczkach i spotkaniach, z chę-

cią myślę o odpoczynku w tym cichym domu na wzgórzu. Warto by uporządkować chaos wrażeń, zapisać myśli. Nie, jest się gościem, który nie przyjechał tu odpoczywać.

Dziedzisto. Tym razem chińska mławka nie różni się od polskiej. Jedziemy w teren. Pierwszym celem — miasto Luan. Miasto starych, glinianych, podługowatych jak arka domków i nowych okazałych, murowanych gmachów. I tu cegła, wapno i cement w ruchu. Rozmiękły less utrudnia robotnikom budowę mostu.

Luan jest stolicą sądu administracyjnego, w rodzaju naszego województwa. Samo miasto liczy wprawdzie tylko osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców, ale administracja obejmuje obszar zamieszkały przez cztery miliony ludzi. Jest tu urząd do współpracy z zagranicą. Przyjmuje nas jego kierownik. Przyjmuje nas herbata, informacja, statystyka, wędrowka po mieście, wreszcie obiadem. Luan szczyci się wielkimi tradycjami walk wyzwoleńczych. Wybitne ognisko rewolucji. Już w 1929 roku objęła tu władzę armia czerwona. Stąd wyszło dwustu generałów i wybitnych dowódców. Zwiędzamy muzeum pamiątek po żołnierzach. Skromne eksponaty i właśnie ta skromność fascynująca. Tu nie ma armat ani czołgów, ale spotykamy



pistolety sprzed stu lat, rewolwery przedpotopowego kalibru, miecze zapewne jeszcze z okresu zakładania Wielkiego Muru. One zastępują to, co powinno być na wystawie: pięści, żeby,

pezu, kolana, a jeszcze bardziej — upór, wytrwałość, niezłomność.

Nie ze względu na muzeum odwiedziłam Luan. Tu powstają ważne dzieła w zwalczaniu powodzi i posuchy. W toku jest urzeczywistnienie wielkich urządzeń irygacyjnych, które pozwolą nawodnić dwanaście milionów „mu”. Właśnie mamy zobaczyć wielką tamę zbudowaną w górach Meiszan w miejscowości Tsintse. Jedziemy w tamtą stronę.

Smętna krajina, na pewno w tym chmurnym i deszczowym dniu smutniejsza niż zwykle. Szaro na błotnistej drodze, na rozmiękłych polach. Ale urozmaica tę szarość parasol. Właśnie niepogoda pozwala nam poznać rozpoznać — chłnienie parasoli. Niemal co drugi człowiek na drodze z parasolem. A widać gdzieś i granatowe. Widać tu i ówdzie postać w charakterystycznym słomianym kapeluszu. Niektórzy noszą pelerynki ryżowe w ochronie przed deszczem.

Po drodze — chyba ani jednego sodu. Ale za to zapowiedź nowej roślinności — kilka szkółek drzewnych. Jeszcze jedno wielkie dzieło czeka na realizację: zadrzewienie. Tego nie da się uczynić metodą skoku, zrywem miliona ludzi, pospiechem wykonania. Drzewo musi mieć czas na wzrost. Powstają za to liczne szkółki. Za dziesięć lat zamienią się w zagajniki i sady.

Ozdobne pismo chińskie święci tu wszędzie tryumfy. Kochają się w swym piśmie, pojmovanym też jako rodzaj sztuki pięknej. Pismo jest równocześnie obrazem, przedmiotem kontemplacji estetycznej. Propaganda znakomicie umie wykorzystać te objawy. Pełno napisów wzdłuż drogi. Na ścianach domów, na płotach, gdziekolwiek nawet na strzechach, na ścianach lessu, na głazach, a dalej w górach — na skałach.

Samochód na wiejskiej drodze jest zjawiskiem zwanym, wyższym światem. Samochód — to partia, rząd. Przejeżdżamy w pewnej wiosce obok grupki dzieci szkolnych. Witają wózek jakimś naturalnym uśmiechem uznania i oklaskami.

Wreszcie krajobraz się zmienia. Zbliżamy się do gór. Zapowiedzią ich najpierw są stada krów. W tej prowincji jak dotychczas najwięcej zwierząt widzieliśmy w ogrodzie zoologicznym w Hofei. Oczywiście poza tysiącami świń w chlewniach komunistycznych. Konia trudno dostrzec. Muli i osioł są rzadkością na drodze. Czasem gdzieś w polu płozy — o! przy plugu. I psów nie widać. Aż naraz — sto krów na pastwisku. Wkrótce potem nowe stado. I jeszcze jedno. Inny świat. Jakis drapieżnik, zapewne orzeł, szybuje w górę. Zmienia się krajobraz, rośliny, zwierzęta i ludzie. Góry. Przyjeżdżamy do miasteczka Tsintse przypominającego nam Zakopane.

Jest tu hotelik przeznaczony dla gości zwiedzających słynną zaporę wodną, jedno z wielkich urządzeń irygacyjnych prowincji Anhui. Największa tama na świecie — twierdzą gospodarze. Nie wiem, ile w tym prawdy, w każdym razie zapora imponująca o długości 545 metrów, wysokości 80 m. Być może sława jej ostatnio przybladła wobec takich dzieł o wielkim zna-



Goście polscy w chińskim teatrze w Hofei

czeniu ogólnochińskim, jak most na Jangtsekiangu i nowe kombinaty metalurgiczne, zapora bowiem powstała w latach 1954—1956, posiada więc już „stare”, chociaż piękne dzieje. Zmrok zapadł, gdy przybyliśmy do Tsintse. Gospodarze od razu zorganizowali nam wieczorne przyjęcie i nocleg. Tu, na tzw. głębokiej prowincji, chyba większa prostota i bezpośredniość niż w stolicy, nie mniejsza gościnność i staranność. Wszelkimi sposobami pragną uprzyjemnić nam pobyt, który przypadł niesłaby na czas deszczu i błota. Mistrzem ceremonii jest zawiadowca zapory,



szczycący się swą rolą, zapachany w swej tamie jak w ósmym cudzie świata. I nam chce przeleć trochę zapadu, snując długą opowieść o dziejach zapory, ilustrując cyframi jej znaczenie i potęgę. Potem — „czym chata bogata”, a więc wieczera wspólna z nieodłącznymi toastami na cześć Chin i Polski. Dla rozrywki i nauki — pokaz filmów dokumentalnych, istotnie interesujących. Deszcz pada, w górach zimno. W hotelach nie ma pieców, zadbano jednak o ogrzanie — starym chińskim sposobem. Na dużych miedzianych misach żarzący się węgiel drzewny. Znakomicie ogrzewa, nie dymi, nie wydaje swadu. Jedna dawka starczy na kilka godzin. W środku nocy ktoś ciuchotko usunął wygasłą misę i przyniósł inną z nowym żarem. Podobnie — rano.

Pogoda w dalszym ciągu nie sprzyja. Wprawdzie zapora leży obok hotelu, ale ze względu na błoto zaopatrzono gości w gumowe buty. Nie było to konieczne, świadczyło jednak o troskliwości gospodarzy. Windujemy się na grzbiecie zapory. Zawiadowca jest w siódmym niebie. Wprowadza nas w tajniki budowy, jakbyśmy byli specjalistami od irygacji. A ze szczytu rozciąga się piękny widok na wielki, sztuczny jezioro obramowane górami. Sledzimy lot orla. Tylko pięciu ludzi czuwa nad całą zaporą, tylko pięciu — zaręcza zawiadowca i gestem zaznacza, co to, za olbrzym pod nim. Zimny wiatr z mławki nie chłodzi jego zapalów. Nas jednak zmusza do szybkiego powrotu na ziemię. Schodzimy, by ogrzać się w elektrowni, która także ma

swoją historię i interesującą statystykę, jak nam gorąco dowodzi przewodnik.

Tu, w Tsintse, ognisku walc partyzanckich, urządzono teraz schronisko dla weteranów. Jest to osiedle złożone z kilkunastu domków, w których mieszka około piętnastu zasłużonych oficerów. Pamiętam, że o kolce Luan wydały dwustu generałów i wybitnych dowódców powstańczych. Być może zaliczają się do nich inwalidzi, których odwiedziłam. Na czele osiedla stoi pułkownik, inni nieco niżsi rangą, ale każdy dosługuje się wysokiego stopnia poprzez długie lata wojenne. Dziś, w pospolitych kurtkach, skromni, nieśmiali, przypominają zwykłych chłopów. Z chłopów przeważnie się wywodzi, wyniosła ich w górę rewolucja i wojna. Jako weterani pobierają żołd wojskowy. Pożenił się, przeważnie po wojnie, niektórzy cieszą się męskim potomstwem. Właściwie nie starzy to jeszcze ludzie. Najstarszy dobiega dopiero sześćdziesięciu lat. A jednak inwalidztwo rysuje się w ich postaciach, w wyrazie twarzy. Po dwudziestoletnim udziale w wojnie słusznie im przypadł zasłużony kawałek skromnego chleba.

Wracamy do Hofei. Dom na wzgórzu wita nas rzęsiwym światłem. Jakby tu



wszyscy tęsknili za nami. Przyjazne uśmiechy. Kucharz zapewnia, że wieczera gotowa. Kaloryfery nagrzane. Na schodach jakby wystawa chryzantem — co stopień jeden wazon. Coś żarzy się wśród kwiatów, rzekłbyś — ktoś porozmieszczał świętojańskie robaczki. A to tła się laseczki kadziane, roznosząc ulubione zapachy.

STANISŁAW CZERNIK

(Z tomu „Trzy podróże”, który ukaże się niebawem nakładem Wyd. Łódzkiego).



W chińskiej komunie ludowej



W ostatnich latach rozwinęło się indywidualne rybołówstwo morskie. W kilku osadach osiedlili się nowi rybacy, przeważnie byli żołnierze WOP. Na zdjęciu: indywidualni rybacy z Unieści w powiecie koszalińskim wypływają na połów. Fot. E. Pelczar

PRZYJACIEL MIESZKA NAD MORZEM

(Dokończenie ze str. 1)

twem. Wiek jest jeszcze młoda, liczy sobie przeszło dwa lata. Zaczęło się od współpracy kulturalnej między Łodzią a Słupskiem. W jej ramach wyjeżdżali do Słupska łódzcy literaci; między innymi Anna Pogonowska, Władysław Rymkiewicz, Marian Plechał. Z okazji wystawy łódzkiej plastyków w Słupsku odczyty na temat malarstwa wygłaszał prof. Anders. Występował gościnnie Teatr 7.15 i zespoły LDK. Po pewnym czasie kontakty kulturalne zostały rozszerzone na całe woj. koszalińskie. W listopadzie ub. r. został zorganizowany w Łodzi pierwszy „Tydzień Ziemi Koszalińskiej” zapoznający nasze społeczeństwo z dorobkiem tej części Ziemi Odzyskanych w dziedzinie przemysłu, szkolnictwa, kultury itd. Gościliśmy w Łodzi literatów koszalińskich, w salach CBWA eksponowane były 3 wystawy plastyków i fotografików koszalińskich, wystąpiły przyjęte z dużym uznaniem zespoły amatorskie: „Teatr Ulley” ze Słupska i zespół teatralny jednego z liceów koszalińskich. Nastąpiła wymiana zespołów sportowych. To są fakty. O nich wiedziałem już w Łodzi, jeszcze przed wyjazdem. Fakty są reprezentatywne oraz nieprzeczo-czyste. Próbowałem zażyć za nie, byłem w Koszalinie. Do Koszalina jedzie się około 14 godzin, tzn. dłużej niż do Pragi czeskiej. I oczywiście dużo mniej wygodnie. To pierwsze reportażowe wrażenie.

Jeszcze przed kilku laty Koszalin był niewielkim miastem w wschodniej prowincji. Dziś... jego mieszkańcy na pewno nie mają kompleksu stolicy. Są ludźmi nowymi, tak jak całe dzielnice tego miasta. Przyjechał tu z różnych stron Polski, wielu pochodzi z Wilna, wielu jest również łódzian. Mieszkają tu 5 lub 10 lat, zaaklimatyzowali się na stałe, wszyscy zgodnie narzekają na prowincjonalizm Koszalina, ale, sumarycznie rzecz biorąc — Koszalin ma ambicje wielkomiejskie.

Kilka kin, kilka linii autobusowych, stała scena Teatru Bałtyckiego, Koszalińska Orkiestra Symfoniczna, wiele szkół ogólnokształcących i zawodowych, zespoły amatorskie, muzeum, „Głos Koszaliński”, wszystko to tworzy początki wielkomiejskiego klimatu. Początki

— bo miasto jest ciągle nowe, młode. W śródmieściu cała dzielnica kolorowych bloków otaczających rynek. Nowe dzielnice na peryferiach rozległego już miasta. Nowy, piękny hotel miejski. Nowoczesne kawiarnie, restauracje i sklepy. Budowa wielkiego dworca kolejowego. W ostatnich latach zaczął się Koszalin gwałtownie budować. Trochę może monotonię, trochę „pod sznur”, ale z rozmachem robiącym duże wrażenie. Czego więc jeszcze brak? Ścisłej łączności z życiem kulturalnym „reszty” Polski nie ograniczającej się do gościnnych występów różnych teatrów w okresie urlopowym? Wyższej uczelni? Zakładów przemysłowych? A może trochę innych ludzi na tzw. wysokich stanowiskach? — ludzi mniej zaradkowych i mniej urzędowych?

Wieczorem ludzie przechodzą ulicą Zwycięstwa, która stanowi oś miasta, stają przed jasno oświetlonymi witrynami sklepów, wchodzi do wielkich „Delikatesów”, gromadzą się pod kinem w WDK. Znikają w najmodniejszej kawiarni Koszalina o nazwie „Mokka”. Jest zimno, mokro, pada rzadki śnieg, ale ludziom się nie spieszy, widocznie deptak ma swoje atrakcje nie tylko latem. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i robi się luźniej. Dalej, za skrzyżowaniem naprzeciw gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej, miasto jest coraz bardziej puste, stare secesyjne kamieniczki przypominają trochę Łódź. Gdzieś niedaleko jest Góra Chelmska z wielkim amfiteatrem, schroniskiem turystycznym i wielkim centrum badań archeologicznych.

Wędrujemy we dwóch tą trasą, idzie ze mną Czesław Kuriata, najzdolniejszy młody poeta Koszalina. Idziemy do Tadeusza Sokola — prezesa tutejszego klubu literackiego.

O koszalińskich pisarzach mówi się od czasu do czasu, za każdym razem odkrywając to najmłodsze w Polsce środowisko literackie. Jest ich niewielu, zaledwie kilkanaście osób. Tylko Tadeusz Sokół ma na swoim koncie pozycję książkową. Tomik wierszy wydany w Krakowie, gdzie wtedy Sokół mieszkał, był kiedyś dużą rewelacją. Tadeusz Sokół mieszka w Koszalinie, pracuje w Poradni Wojewódzkiego Druku Kultury i gdzie się da na sejmikach kulturalnych, w zjazdach literackich przypomina o koszalińskich pisarzach, zabiega o wydawanie ich książek. Tak, na pewno sytuacja tej grupy ludzi nie jest najłatwiejsza. Niewiele jest pism, które mogłyby drukować ich utwory, wszystkiego nie może zrobić niedzielną dodatek kulturalny w „Głosie Koszalińskim”. Czasem, bar-

dzo rzadko ukazują się koszalińska kolumna w „Życiu Literackim” czasem krótka notatka w „Pomorzu”, czasem p. Marta Emellanow drukuje wiersze w „Orce” lub „Nowej Kulturze”. Nie bardzo mają gdzie wydawać swoje książki, próbują w różnych wydawnictwach. Kuriata wydaje swój debiutancki tomik w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Młody prozaik Zbigniew Kłwka dużą dwutomową powieść w Wydawnictwie Poznańskim. Ale każde z tych Wydawnictw ma swoich dostawców, koszalińscy literaci są ciągle traktowani jak krewini z głębokiej prowincji. Bo niby pisać, mówić się ciągle o nich, że zdolni, i waz kłwicz powiedział nawet, że w Koszalinie powstanie Oddział Związku Literatów — ale kto ma ich wydawać? Do jakiego wydawnictwa ich przypisać?

Mimo tych i jeszcze wielu przeróżnych trudności Koszaliński Klub Literacki prowadzi dość ożywioną działalność. Odbijają się wieczory autorskie, przyjeżdżają tu literaci z Warszawy, Krakowa, czasem ktoś z Łodzi. Oczywiście, tak jak w każdym środowisku tworzymy dużo jest kłótni i rozbieżnych zdań. Czesław Kuriata, redaktor Koszalińskiej Rozgłośni Polskiego Radia, zbuntował się głośno przeciw tym, którzy szumnie uważają się za poetów po dwu lub trzykrotnym zamieszczeniu wiersza w „Głosie Koszalińskim”. Tych podobno jest tutaj sporo. Felieton radiowy wywołał dość burzliwą polemikę, ale też na tym się skończyło — niewielką widac poprawę w atmosferze kulturalnej miasta. (Przed kilkoma dniami w liście z Koszalina zamieszczonym w „Życiu Literackim” pisał Tadeusz Sokół o zmianach jakie zaszły w literackim środowisku Koszalina. Przyjęto do klubu kilku nowych członków, jeden z nich kierownik Wydziału Kultury MRN został wybrany prezesem Klubu. Oprócz tych wieści przeczytałem jeszcze jedną: Klub Literacki został przez Wydział Kultury WRN całkowicie pozbawiony dotacji na swoją pożyteczną działalność).

Posłuchajmy co na temat współpracy Łodzi z Koszalinem mówią oficjalnie.

Sekretarz TRZZ Józef Kozłowski:

W maju lub czerwcu 1961 roku będzie u nas organizowany Tydzień Ziemi Łódzkiej. Planujemy w tym czasie wymianę wycieczek ze szkół i zakładów pracy.

Nawiązaliśmy porozumienie z Łódzką Radą Okręgową ZSP — porozumienie szczególnie dla nas cenne, w wyniku którego ekipy studenckie pod kierunkiem naukowców będą przepro-

wadzały na naszym terenie badania socjologiczne i demograficzne. Uważam, że współpraca z Koszalinem może być korzystna i dla Łodzi, choćby z tego względu, że pomieszcimy na naszym terenie wielką ilość dzieci na koloniach letnich. Są ośrodki, które niewielkim kosztem można przystosować do takich właśnie celów. Nam zaś wiele korzyści daby częstsze wizyty dobrych zespołów artystycznych. Społeczeństwo nasze rzadko widzi zespół operetkowy, jest duże zapotrzebowanie na spotkania autorów znanymi literatami. Widzielibyśmy chętnie dobre zespoły studenckie i zespoły sportowe. Bardziej żywy powinien być kontakt prasowo-radiowy, bo do tej pory ogranicza się tylko do wzmiarek informacyjnych przy okazji oficjalnych imprez.

Kierownik Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej Eugeniusz Zawadzki:

W czasie Tygodnia Ziemi Koszalińskiej miło nas ujął serdeczny stosunek społeczeństwa łódzkiego do gości z Koszalina. W tej atmosferze można kontynuować naszą współpracę. Będziemy chętnie u nas widzieli waszych studentów — z dotychczasowych bowiem kontaktów odnieśliśmy jak najlepsze wrażenie. Chcielibyśmy, aby łódzcy pisarze nawiązali ścisły kontakt z naszym młodym środowiskiem twórczym. Można by związać jakoś wasz i nasz wojewódzki dom kultury. Może się to stać przez wspólne prace plastyków wśród, których są u nas duże talenty. Oczywiście, jeszcze trzeba by zaplanować wymianę zespołów zawodowych. Możemy pokazać za granicami naszego województwa nasz teatr bez obaw o kompromitację. Warto pomyśleć o zaproszeniu do nas Filharmonii Łódzkiej — nasza orkiestra symfoniczna, mimo że nie potrzebujemy się jej wstydzić, jest jeszcze zespołem młodym, mało licznym, dorabia się dopiero swojego stylu i repertuaru.

W życiu kulturalnym Koszalina istotną rolę odgrywają kluby i świetlice (jest ich 9), oraz różnego rodzaju zespoły. Jest tu wiele wcale nie martwych chórów, zespołów teatralnych i estradowych. Jeden z nich — Teatr Propozycji „Dialog” — prowadzony przez Henrykę Rodkiewicz zdobył sobie zasłużoną sławę w całej Polsce, uzyskał drugą nagrodę na Festiwalu Teatrów Poezji. Teatr, jak się słyszy, bardzo dojrzały, nowatorski i zawsze trafnie umiający wybrać rodzaj eksperymentu. Teatr występuje rzadko, boryka się z trudnościami, przez pewien czas nawet groziło mu rozwiąza-

nie — oczywiście — ze względu na finansowe. Trudności jednak jakoś przezwyciężono. „Dialog” istnieje i pewnie w dalszym ciągu będzie się o nim wiele słyszało. „Dialogu” nie zobaczyłem, widziałem za to młody, dopiero po pierwszej premierze zespół estradowy, działający w Klubie przy Komitecie Wojewódzkim ZMS. Nie trafiłem na premierę, oglądałem tylko fragmenty programu, pokazano mi zresztą wszystkie teksty.

Poznać od razu debiutanta. I przebieg Stefci Górskiej sprzed 30 lat, jakaś hawajska kolysanka, a obok tego ciekawe, oryginalne teksty jednego poety piszącego dla tego zespołu Kuriaty. Zdecydowanie dobre są te teksty, bardzo serdeczny stosunek i daleko idąca pomoc dla zespołu ze strony kierownika Wydziału Kultury Miejskiej Rady Narodowej, Romana Grodzia. Wszystko to każe przypuszczać, że pierwszy tego rodzaju zespół w Koszalinie nie przedko się rozleci, a jego następne programy będą coraz lepsze.

Trafiłem na skromną „domową” uroczystość — popremierowe zebranie zespołu. W rodzinnej atmosferze pan Grodz oceniał premierę, wykonawstwo poszczególnych numerów, radził z zespołem, planował. Należy sądzić, że z tej maki będzie dobry chleb. Opowiadał mi szeroko jeszcze o czymś — o premierowej publiczności. O 150 osobach koszalińskiego „wielkiego świata”, które przyszyły tu, aby zobaczyć przegraną i aby przegraną przypieczętować. Już to, że o przegranej nie było nawet mowy, jest dla zespołu powodem do radości i dumy.

Słupsk. Pamiętam, przed kilku laty kursowały po mieście tramwaje. Najmilsze miejsce — jakiego widziałem. Smieszność polegała na tym, że motorniczy był jednocześnie konduktorem. Po przejechaniu dwóch przystanków wstawał i szedł zbierać za bilety. Jak się łatwo domyśleć większość pasażerów przejeżdżała właśnie odległość tylko dwóch przystanków. Dziś o tram-

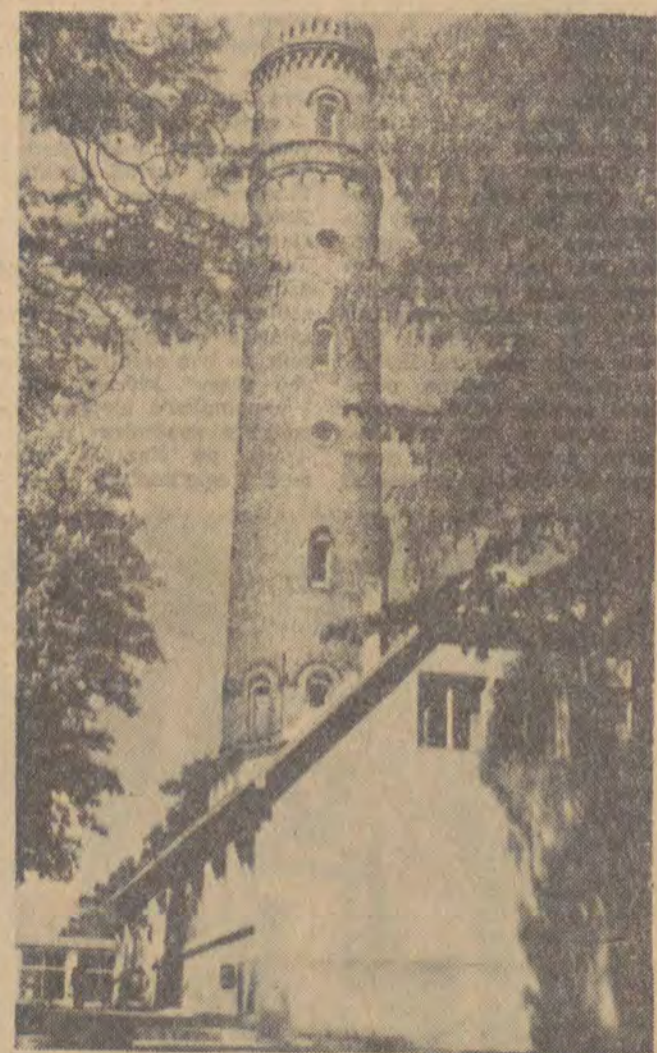
wajach przypominają tylko szyny, tramwaje zostały zastąpione przez autobusy.

Słupsk. Jeszcze jedno miasto z długiego szeregu tych które walczą o pierwszeństwo w województwie. Tak jak Toruń i Bydgoszcz, jak na mniejszą i bliższą skalę Sieradz i Zduńska Wola. Miasto stare, 600-letnie, co krok napotyka się jakiś mur, jakiś dom, który o tym wieku przypomina. I może właśnie dlatego Słupsk ma więcej z cech miasta wielkiego niż Koszalin. Miasto trudne do rozgryzienia dla obcego. Trzeba tu podobno poznać parę lat, aby się zorientować co to właściwie jest. Ale i ci, którzy tu kilka lat mieszkają krancoowo różnią się w sądach o swoim mieście. Jedni: miasto skostniałe, nieruchawe, nie się tu nie dzieje, nie widać żadnych prób działania młodzieży, kawiarniane plotkarstwo, snobizm. Drudzy: wielka ilość inteligencji, a w związku z tym ogólnie wyższy poziom kulturalny częste wizyty różnych teatrów, dobrych pisarzy i artystów — nie trzeba mieszkać aż w Warszawie, aby coś widzieć.

Nie potrafię uznać słuszności, któregoś z tych sądów. Ale zgadzam się z tym, że to jest miasto trudne do zobaczenia, nieprzejrzyste. I może właśnie dlatego tak modne wśród reportażyistów są nowe miasta — Kołobrzeg, Koszalin, a tak mało się pisze o starym Słupsku.

Przyjaciel mieszka nad morzem. Dziwny przyjaciel bo ciągle mało znany. Czyśmy aby nie zawinił temu stanowi rzeczy? Łaskawie pozwalamy (my — Łódź) przyjaźnić się z nami, zakładając z górą, że przyjaciel jest nieciekawym. Zbrywamy go klepskim podarunkami — wysyłamy mu Teatr 7.15... Piszemy o nim mało, a jeśli się to zdarzy, to zawsze w ramach jakiejś centralnie uchwalonej akcji. Niedobrze, że tak właśnie jest. Postawiamy się poznać przyjaciela. Jeśli już opuścimy wszystkie rozsądne racje, to choćby tylko dlatego, że rośnie, że jest młody, a na pewno dobrze jest popatrzeć na młodość miasta.

MAREK WAWRZKIEWICZ



Góra Chelmska pod Koszalinem — jest ulubionym miejscem wypoczynku mieszkańców stolicy województwa. W czynie społecznym zbudowano tu amfiteatr, boisko sportowe. Władze miejskie wybudowały schronisko turystyczne i restaurację. Na zdjęciu: schronisko turystyczne z charakterystyczną wieżą na Górze Chelmskiej.

Fot. E. Pelczar

Krople

Na liściu dębu brązowym
Leży pięć kropel wody
Przezroczyste i pełne
Patrzą oczyma we mnie

Że je słońce nasyci
Każda jak błyskawica
Geometryczna szpada
W grząskość moją zapada

Budowle

On rzeźbił tę kolumnę w liście akantowe
Skok jelenia umieścił nad prądem strumienia
Trójkątny pyszeczek ryby pomiędzy falami
Gwiazd kilka uwypuklił Błysk wzrostu w korzeniach

Sklepienie niby jedwab kolumnę opływa
Oto jest przed gradami i deszczem ochrona
Jak biją długie krople igły śniegu skwierczą
Nawałnica przechodzi ponad

Te słowa układane wiązane w namioty
Abym z twarzą spokojną zasypiać umiała
Przeciw burzy napięte w lekki powiew nocy
Rozchylające płótna



Pod lukiem co już szeleścił

Na skraju śmierci która
Uginała powietrze
Ze gmachy kładły się na wznak
Wśród chimery z kamienia jeszcze
Pod lukiem co już szeleścił
Twarz krzywił o twarz
Opierał skórę policzka
Żeby były jak przystań
Którą fala poita

Mięśnie i słowa

Pneumatyczne zaleły kochanek
Umieśnionych kochanek przewagi
W silzawicy muskulator nagi
Słowa — tryby hamujący piach

Wiece od zwierów dziurawe wiec krwawe
Ciała tęcza już gęsto latane
Wiatr we wraki ich powoli wchodzi
Przesuwając jak w klepsydze piach

Z tomu wierszy „Gas.cze“, który ukaże się w najbliższym czasie nakładem „Czytelnika“.

Żrenice ziemi

Miałem kiedyś w jakiejś szkole pogadankę o życiu i dziele Stefana Żeromskiego. Mówiłem między innymi o szczególnej roli, jaką grał w przyrodzie w twórczości autora „Puszczy jodłowej”. Zwróciłem się do młodzieży z pytaniem, czy lubi przyrodę? Otrzymałem jednoznaczny odpowiedź, że nawet bardzo. Ale po drugim z kolei moim pytaniu, na czym mianowicie polega to jej lubienie przyrody, jak się ono przejawia — zapanało ogólne milczenie.

Stan niemiły dla obu stron konsternacji przerwała wreszcie jedna z bardziej rezerwujących dziewczyn, która oświadczyła, że jeśli o nią chodzi to bardzo lubi zrywać kwiaty i to od najmłodszej wiośny do najpóźniejszej jesieni.

— O, jeszcze śnieg całkiem nie zjeździł — chwiliła się — już nie mogę wytrzymać: pedzę do lasu, na łąkę albo choćby do parku i zaraz pierwszy kwiatek wiosenny, jakiś tam fioleczek, sasanka czy stokrotka, to już mój żaden nie ujdzie, cały ich pęk przyniosę do domu. Inne koleżanki też do tego namawiam, ale niektórzy się ociągają, widać nie lubią przyrody.

Po niej zabrał głos rosyjski chłopiec o zwichrzonym czuprynie i rozdartym do łokci rękawie, deklarując swoją szczególną miłość do młodych wiewiórek, zajączków, kurczaków i w ogóle dzikich ptaków. Zwracał na uwagę, że wiosną, gdy wiośnię domową, jego niezwykłą zażyłości stawały się gniazda sroczki i wrony z ich ledwo wyległym potomstwem.

— A po czym poznajesz, że w gniazdach jest już potomstwo?

— Po pisku w tych gniazdach i po wrzasku starłych. Przecież nie ruszam tych gniazd, aż się wylegną młode.

— Dlaczego?

— Bo to są okropne szkody! — odpowiedział z dumą samowiedzą. — Porywają młode kurczątka i gęsi, także nie pierzone aniołki w lesie i inne ptactwo, a nawet zjadają młode paki drzew.

— No, obrze, a co z nimi robisz?

— Zrzucam te gniazda razem z tymi pisklętami na ziemię. Od razu takłe czarne jak diabeł, tylko że aby młode żółte i takłe szerokie i co rusz je całe rozdziewają. Te najmłodsze nieopierzone to się i aż rozbiłają, jak upadną, na placek, ale te starsze zaraz rozbiłają, jak usiądą, i gną, bo stare, ścięte, krząją napokoło z takim wrzaskiem, że tylko do nich prac kamieniami.

— I robisz to?

— Robię, i koledzy też, ale trudno trafić, nawet z luku.

Nie słuchałem dalej tych sławnych zwierzeń, z wielką uwagą i niejaką zadróżką słuchanych przez większość jego rówieśników, i w oczach niejednej z dziewczyn widziałem niekłamany podziw dla niego. Już miałem z ciężkim sercem zwątpić w lepszą połowę naszego rodzaju, kiedy nagle z pierwszej ławki podniosła się mała czarnulka i cała zaperzona krzyknęła:

— No powiedz, powiedz, ty świnie, co z tymi biednymi wronkami wyrabiasz!

Nastąpiła wyczekująca cisza. Dzieci wyciągnęły szyję, wpatrując się w chłopca. Ten speszony rzucił na czarna „se gro... spojrzenia.

No powiedz, co z nimi wyrabiasz? — powtórzyłem za dziewczynką.

— E, tam, to tak czasem dla zabawy — wyjął z oporami.

— Co dla zabawy?

— Oblipiamy je w glinę, rozpalamy gorę i rzucamy w nią, żeby się upiekły...

— Zwyce! — wtrąciło któreś z dzieci.

— Nie wszystkich, ale to inne chwile, nie ja...

— Ty! Ty! — wrzasnęła klasa.

I tu chł... ec się rozplakał.

Tego musiałem go uspokajać i tłumaczyć, na czym polegała niestosowność jego postępowania. Także i tej zadowolonej z siebie dziewczynce, osobliwej miłośniczce kwiatów. Razem z nimi cała klasa była wstrząśnięta. To, co im powiedziałem na temat właściwego pojęcia stosunku człowieka do przyrody i na czym on w istocie polega, było dla nich prawdziwą rewelacją.

No a dziś? Czy tak bardzo jest inaczej? Czy aby wszystkie dzieci, a także i dorośli, wiedzą, że prawdziwa miłość do przyrody polega nie na wrogim, lecz przyjaznym do niej stosunku, nie na jej dewastacyjnej eksploatacji, lecz na jej obronie przed bezmyślnym niszczytelstwem i opiece nad jej upadłą, lecz kruchą roślinnością?

Wszystko to przypominało mi się przy lekturze niedawno wyszłej w przekładzie polskim czołowej książki „Zrenice ziemi” (1952), „Nowe skiby” (1954), „Swaty” (1954) i „Diabeł w Zynowiciach” (1955). Autor „Zielonego szlaku” dobrze jest znany czytelnikom prasy łódzkiej, jako beletrysta i publicysta, podejmujący trudne problemy współczesnych przemian społecznych i gospodarczych na wsi i w miasteczkach. Pozostaje w żywym kontakcie z rodzinnym środowiskiem wiejskim, a stałe wyjazdy w teren pozwalają mu na uzupełnienie wiedzy i gromadzenie materiałów z pierwszej ręki.

Można by śmiało nazwać ten zbiór listami z podróży po kraju albo wyciągiem z dziennika, tak często autor wychyla się poza zwykłą formę reportażową lub typowy wywód publicystyczny, zbliżając się do eseju literackiego. Ta właściwość jest główną zaletą książki. Autor nie ograniczył się do pospolitej relacji faktów. Materiał sprawozdawczy potraktował jako przesłanki do snucia ostrych wniosków uogólniających, do refleksji nie raz podbarwionych emocjonalnie, do porównań o partych na dawniejszych własnych lub cudzych doświadczeniach. Dzięki tej metodzie szkice jego, przeznaczone zasadniczo do publikacji w dziennikarskich lub radiowych, nie przedwniły się, zachowały świeżość ak-

STANISŁAW CZERNIK

„Zielony szlak“

tualności i doczekały się rangi wydania książkowego. Gdyby nie kilka szkiców o wsiach i miasteczkach Kielecczyzny, można by „Zielony szlak” nazwać książką o województwie łódzkim. Oto kilka przykładów. Jak powstała zapleczka wiejskie współczesnej Łodzi, jako metropolii przemysłu włókienniczego — interesujące rozważania wysnute z porównania dawnych i dzisiejszych losów rodziny chłopskiej ze wsi Czarnocina pod Kozłuskami. Na „Początki z Łęczyca” żywe kompendium przemian gospodarczych i kulturalnych „miasta Boruty”. Reportaż z Blichu pod Łowiczem — to zagadnienie młodego pokolenia chłopów, wnikliwe rozstrząsanie przyczyn ucieczki i powrotu młodzieży na wieś. Z Kutna i okolicy przywiozł autor mnóstwo reportażów, można by powiedzieć zawodowych, wątpliwości — jak „ukazać obiektywny obraz rzeczywistości” wobec wielu sprzecznych spostrzeżeń zebranych po drodze. Wilkowie — to znów zawila sprawa spółdzielni produkcyjnej, przedstawionej w świetle autentycznych kontrowersji miejscowych chłopów. „Kramarz i poeta” — wspomnienie z Radomska i Łgoty Wielkiej, opowieść o przygodach prelegenta na spotkaniach literackich. Pełno „znaków na mapie” z zielonego szlaku wędrowek: czarne kółka przy nazwach oznaczają spostrzeżenia ujemne, czerwone — dodatnie. Ileż tych kółek! Komnie i Leżnica Mała, Prądzewo i Błonie, Jeżów i Galewice, Grabów i Gawronki, Piatek i Piekary, Sieradz i Wieluń. Nie wymieniam wszystkich.

Trochę tych „znaków na mapie” obejmuje województwo kieleckie. Wydaje mi się, że najwyżej wypadły obrazki spod Buska i Stopnicy, zapewne pod wpływem sentymentu dla rodzinnych okolic autora i bliźszego rozpoznania losu ludzi znajomych i krewnych. Tu mamy to jak najbardziej autentyczne, nie z przelotnego rzutu oka lecz z wnikliwych porównań dobrze znanego stanu rzeczy.

Wydawnictwo Łódzkie rok 1960, cena 10 zł.

Zabawy przyjemne i pożyteczne

(Dokończenie ze str. 2)

nym niekiedy twórcami, filmowców — zdanie André Mauroisa:

„W dniu, w którym niektórzy wielcy filmowcy odwołują nieodpartą potrzebę uwolnienia się od siebie samych, tak jak Byron i Baudelaire w poezji, a Balzac i Tolstoj w powieści — film jako sztuka będzie uratowany”.

Pamiętając, dopiero wtedy, i nie tu nie pomoże twórcze mitu fachowości czy mitu anty-fachowości.

POZYCJA TYGODNIA

„Dałam swoim chłopaczkom z klasy II-giej (wiek: 8 lat) — pisze do „Przekroju” nauczycielka szkoły podstawowej z Poznania — paleczki czarodziejskie i pozwiliłam im odczarować i wyzłocić to, co im się tylko podoba lub zechce. I oto rezultat”.

I tak w ostatnim numerze „Przekroju” znalazły się odpowiedzi dzieci na pytanie: „Co bym zrobił, gdybym był czarodziejem?” Rzecz wydrukowano, jak się zdaje, ku rozrywce i ucieście czytelników, znaczenie eksperymentu poznawczego nauczycielki jest przecież znacznie szersze, i wypracowania jej wychowanków są raczej nieporównywalne z dość często publikowanymi u nas dla zabawienia dorosłych co śmieszniejszymi wyjątkami z zeszytów uczniowskich. Mimo więc, że nie zwykłem polecać uwadze czytających pozycję rozrywkową, gorąco namawiam do lektury tych wypracowań, i to nie tylko dlatego, że są one nieodparte komedie. Także dlatego, że poświadczają o wieczną prawdę o podobieństwach, zachodzących między wyobraźnią dzieci a wyobraźnią poetów. Oczywiście, wyobraźnia poety nie jest nieskażona — czerpie przede wszystkim ze źródeł naturalnych: a więc ze snów i z podświadomości — kształconą jest przez obyczaj, lekturę i — mówiąc najogólniej — przez warunki, w których poeta żyje. Dzieci — zgodnie z naszym przekonaniem — obdarzone są natomiast wyobraźnią czystą, ich system kojarzeń karmi się obrazami natury — może przede wszystkim — obrazami prehistorii ludzkości. Mówiąc więc metaforycznie, ośrodkami pamięci u dzieci znajdują się we krwi. To prawda, potwierdzają to także wypracowania ośmiolatków.

Świadczą one przecież również o tym, że zmiany w obyczajach i formach cywilizacyjnych nie pozostają bez wpływu na wyobraźnię dziecięcą. To zderzenie wyobraźni czystej ze sferą obyczajów, obrazów natury z obrazami świata techniki, warte jest chyba dokładniejszego przebadania. A oto wyjęte z „Przekroju” przykłady:

„Gdybym był czarodziejem to bym odczarował motocykliście w gołębia. Gdybym był czarodziejem to bym sobie odczarował samochód. Gdybym był czarodziejem to bym odczarował mojego brata w konia. Gdybym był czarodziejem to bym odczarował mamę w diabła”.

Albo:

„Gdybym był czarodziejem zamieniłbym się w samolot i leciałbym całe życie. Albo spłynąłbym na księżyc. Najpierw zwiędziłbym księżyc a potem słońce. Zobaczyłbym wszystkie stworzenia, co żyją na księżycu. I sto skrzyń ze złotem i sto z dolarami. Albo lufę przez taką żebym widział co się dzieje w niebie, i wszystkich w czarodzieja, żeby ludzie wszystkie zwierzęta i rośliny mogli zaczarować”.

FILMY ZAKAZANE

O amerykańskich filmach, których nie utrzymamy na ekranie, pisze w „Polityce” Jerzy Płażewski w artykule „Filmy USA — u nas zakazane”. Filmy zostały zakazane, oczywiście, przez władze amerykańskie. Jak się bowiem okazuje, nie oglądamy wielu wybitnych filmów hollywoodzkich, bo zostały one przez władze amerykańskie pozbawione licencji eksportowych do krajów naszego obozu. W metropolii „wolnego świata” zaciągnięto kurtynę w stosunku do 93 filmów Hollywoodu”.

Kryteria, którymi kierowano się, wydając zakaz eksportu tych 93 tytułów, są dość niejasne, jak bowiem wynika z podanych przez Płażewskiego streszczeń niedostępnych nam filmów, odpowiednio władze amerykańskie nie zechciały umożliwić nam obejrzenia ani filmu o wojnie atomowej („On the Beach”), ani kryminalnego obrazu „Panie in the Streets”, ani dwóch adaptacji książek Faulknera („Intruder in the Dust” i „Sound and the Fury”) ani — zrealizowanych według znanych przecież w Polsce sztuk Millera i Williama — filmów „Death of the Salesman” i „Rose Tattoo”. Skąd w tym zakazie to materialne pomieszczenie? Ba, żebyśmy to wiedzieli!

ERAZM

**SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!**

Zainteresowana sprawami wychowania naszej młodzieży pragnę zabrać głos w dyskusji zainicjowanej przez Pana na łamach tygodnika „Odgłosy”, zwłaszcza, że jestem pedagogiem i sprawa wychowania jest mi bardzo bliska.

Dyskusja, jaką zapoczątkowały „Odgłosy” to cenna inicjatywa mająca na celu zmotywować społeczeństwo i dobrać do zajęć się i rozpatrzenia niełatwego problemu wychowania, problemu, który nurtuje nas wszystkich. Wychowanie młodzieży dzisiejszej przysparza społeczeństwu, rodzicom, nauczycielom i wychowawcom wiele trudności, które nie maleją, a przeciwnie, z każdym rokiem rozwijają się i narastają budząc słuszny i głęboki niepokój.

Gorzkim bowiem i tragicznym rozpaczyliwa są obrazy z życia naszych dzieci przedstawione przez red. Jazdyńskiego i wicekuratora Przedszkolnego. Apel w sprawie walki o lepszą sytuację wychowawczą naszej młodzieży rzucony przez p. Przedszkolnego winien spotkać się przede wszystkim z gorącym poparciem nauczycieli i wychowawców, którzy w długoletnim procesie nauczania i wychowania kształtują umysły i charaktery uczniów. Oni też powinni podjąć kampanię wychowawczą zwróconą głównie do rodziców. To, niestety, fakt, że rodzina współczesna nie zawsze przygotowana jest do odpowiedzialnego wychowywania swych dzieci. Wychowanie dziecka w przeważającej ilości rodzin jest instynktowne, nie posiadające żadnego gruntownego przygotowania, nie posiadające minimum znajomości psychiki dziecka, a więc źródła trudności wychowawczych szukać będziemy w błędach wychowania rodzinnego. W większości przypad-

ków dziecko rodzi się jako konieczność, ale nie jako konieczność w małżeństwie upragniona czy pożądana, dziecko „przytawia się”. I teraz: im stopień kulturalny rodziny będzie większy, tym wychowanie dziecka będzie bardziej dbałe, staranne, i odwrotnie: u rodziców, u których poziom życia kulturalnego nie ukształtował się, lub co jest jeszcze na porządku dziennym, nie zaistniał — procesu wychowania nie będzie. Wiemy bowiem dobrze, że wielu rodziców, nawet młodych nie posiada wykształcenia podstawowe-

dziadek ojca, ojciec syna, a syn będzie iłł swoje dziecko.

Nawet, gdy dziecko posiada dom, może być bezdomne — nikt w tak zwanym domu nie czeka na nie z ułasknieniem, serdecznością i ciepłym, przyjaznym słowem. Więc rodzina, ta wychowawcza więź, jest też natury uczuciowej, nie tylko materialnej.

Nasuwać mi się pewne wnioski, które mogą służyć kampanii w dziedzinie wychowania. Wyrażam przekonanie, że kampanię tę win-

V—VII, czy VIII—IX, czy X—XI, zebrać oczywiście przed posiedzeniami w klasie i porozmawiać z nimi na tematy wychowania dziecka, zwrócić uwagę na psychikę dziecka, odpowiedzialność rodziców wobec dziecka itp. Oczywiście nie chodzi w tej chwili o precyzowanie tematów, ale o taką formę pracy z rodzicami, która pouczalaby ich o rozpoznawaniu psychiki ich dzieci, bowiem jak zaznaczyliśmy rodzice w przeważającej ilości wypadków nie posiadają wiedzy o warunkach i sposobach wychowania, zale-

bowiżkami rodzinnymi i pracą zawodową. Z reguły zaś ojcowie usuwają się od trudnych spraw wychowania, a najczęściej używają przez nich argumentem na wieść o złym zachowaniu syna czy córki jest bat. Ojcowie rodzin powinni więc przede wszystkim być „douczeni wychowawczo”, że tak powiem, może ten sposób uczyniłby ich bardziej odpowiedzialnymi za losy i przyszłość dzieci. Zresztą, coż dużo mówić, ojcowie daleko częściej stanowią źródło antychowawczej

Aby w swych reportażach czy opowiadaniach sięgali do życia rodziny, aby korzystali z obserwacji i uwag nauczycieli, wreszcie by nauczyciele zabierali głos w tej sprawie, jako ci, którzy najlepiej znają „swoje podwórko”. Wreszcie należałoby uwzględnić na rynku wydawniczym szereg dostępnych publikacji z zakresu psychiki dziecka, przenieść je nie tylko na teren szkół, ale i na tereny zakładów pracy. Wydaje się, że i od czasu do czasu prelegenci — pedagodzy winni znaleźć się w miejscach pracy rodziców — zwłaszcza w wielkich zakładach przemysłowych. Proszę policzyć tylko ko prelekcje na te tematy w fabrykach, a zobaczycie jak mało dotąd zrobiliśmy.

Powinniśmy domagać się również audycji radiowych, filmów fabularnych traktujących o wychowaniu — filmów takich, jak „Kolorowe pończochy” czy „Małe dramaty” — filmów i audycji, które stawiałyby przed nami problemy, zmuszające rodziców i wychowawców do myślenia i działania w trudnych problemach wychowywania. Olbrzymi, co do zasięgu aparat propagandowy — film — telewizja — radio — prasa — działa często antychowawczo, a w każdym razie nie jest należycie wykorzystany w pracy z młodzieżą i rodzicami.

Taki jest mój głos w dyskusji zainicjowanej przez Pana Redaktora.

Łączę wyrazy szacunku

HELENA STACHLEWSKA

(IV)
OBYŚMY
WSPÓLNIE
ODETCHNĘ

PRADZIADEK ŁOŁ DZIADKA

go, wielu żyje w rozłące, wielu jest alkoholikami, inni są skłócen — jednym słowem atmosfera wielu rodzin nie odpowiada warunkom gwarantującym właściwe i odpowiednie wychowanie dziecka. Jeszcze inni uważają, że wystarczy dać dziecku ubranie i nakarmić, aby spełnić obowiązki wychowania, jakie spoczywają na ojcu i matce. Tymczasem tragedia dziecka tkwi gdzieś indziej: nikt go nie rozumie, nawet ci najbliżsi: mamę i tatę nie obchodzi jego zainteresowania, jego wewnętrzne życie, obcy im jest świat uczuć ich własnego dziecka. I bądźmy sprawiedliwi: prawie naganym jest sposób przemawiania rodziców do dzieci w kwestiach spornych. Polega on na użyciu potępienia, znany bardzo dobrze powszechne zdanie, bez bicia nie wychowają się. Pradziadek iłł dziadka,

na podjąć w pierwszym szeregu szkoła i pozostałe placówki oświatowe. Dlaczego? Współczesna szkoła stanowi kuźnię poglądów młodzieńczego człowieka, ona poprzez najbardziej nowoczesne metody nauczania kształci i rozwija umysł, ona też jest najbardziej przygotowana do kształcenia ucznia i do li człowieka. Aby jednak móc oddziaływać na skomplikowany świat przeżyć dziecięcych, szkoła musi wyjść do rodziców, musi dokonać pewnej reformy w wychowaniu, niech to na razie będzie forma eksperymentalna. Uważam, że należałoby zastosować najbardziej szeroko pojętą pedagogizację rodziców. A zacząć od zmiany charakteru tzw. „wywiadów” — okresowych zebrań rodziców. Trzeba byłoby zebrać wszystkich rodziców klas np. I—IV czy

nych przecież od znajomości wewnętrznego świata dziecka. Częste spotkania wychowawców i nauczycieli z rodzicami, mające na celu dokształcanie rodziców, stosowane na dłuższą metę mogą przynieść zmiany na lepsze w wychowaniu domowym. Obserwacja dzieci w szkole mówi wyraźnie, że dzieci, które wynoszą pewne spacenizacji z domu rodzinnego, są trudne i odporne na normalne wpływy wychowawcze szkoły.

Należałoby również żądać, aby przynajmniej na dwa okresowe zebrania w roku przychodzili ojcowie. Musimy w pierwszym rzędzie wziąć się za szanownych tatusiów. Dlaczego? Jak wynika z rozmów przeprowadzonych z matkami, ciężar wychowania spada na barki kobiet i tak przeciętnych

atmosfery w domu, niż matki. To oni piją, „odbywają” narady produkcyjne w knajpach i znajdują mnóstwo powodów, żeby nie mieć czasu dla dzieci.

Wydaje mi się korzystnym również częste kontaktowanie się nauczyciela wychowawcy z domem rodzinnym dziecka, na badanie rzeczowych warunków i atmosfery odrabiania lekcji. Wiem, że takie odwiedzanie (na podstawie własnego doświadczenia) może dodatnio wpłynąć na rodziców, zwłaszcza na ojca.

Poza tym w sukurs szkolny winny przyjść prasa, radio i film. Pożądanym jest i koniecznym aby czasopisma kobiece i pisma codzienne podjęły szeroką akcję pedagogizacji społeczeństwa.



**Z CZARNA
MAGIA
NA TĘ**

Odgłosowa
szkoła magów

„Dawni Słowianie znali różne praktyki czarowne. Mieli czarodziejów, którzy byli zarazem wróżbiarzami i lekarzami” — napisał Adam Fischer w swej książce o czarownikach. Trochę nas może dziwić to dość zaskakujące zestawienie „lekarz-wróźbiarz”, ale czy nie kryje się w tym jakiś sens? Czy nawet dziś, mimo tak ogrom-

nego i szybkiego postępu w dziedzinie medycyny, lekarz nie jest jednak bardzo częstym tylko wróżbitą?

Rzecz zresztą charakterystyczna: wszystkie zachowane podania, legendy i tym podobne źródła dotyczące czarowników nieodmiennie mówią o tajemniczych maściach, ziołach, wywarach... Nie rozumiejąc leczniczych w tym

wypadku wartości nadawanym im wartości cudowna. Nie odnosi się to zresztą tylko do ówczesnej medycyny. Każdej czynności wykonanej sprawnie, lepiej niż przeciętnie, przypisywano automatycznie cechy czarnoksiężkie.

Cytowany na wstępie Fischer podaje taki przykład: cyrulik puszczał krew choremu. Szło mu jednak niesporo, nie mógł prawdopodobnie trafić we właściwą żyłę. Może był zresztą pijany. Historia o tym milczy. Traf chciał, że znalazł się jakiś przypadkowy gość, który szybko i sprawnie czynność cyrulika wykonał. Jak się nie trudno domyśleć posadziło go o czary. Taka reakcja była na porządku dziennym i była raczej — zważywszy ówczesny stopień oświecenia — zupełnie prawidłowa. Zbyt daleko nie odeszliśmy jednak od średniowiecza. Z podobną reakcją spotkać się można i dzisiaj.

Opowiadał mi pewien iluzjonista, jak w małym miasteczku w Europie Środkowej, niedaleko geometrycznego środka Polski, w roku pańskim 1960, nikt nie chciał go po występie przyjąć na nocleg. Nawet przewodniczący Rady Narodowej delikatnie się wymówił.

„Represje” w stosunku do „czarowników” są dziś jednak o wiele łagodniejsze. Ot, po prostu można im odmówić noclegu. Ale dawniej, kiedy czary i gusła były jed-

nym z poważniejszych elementów ówczesnego życia? Inaczej wtedy bywało. Można by oczywiście wspomnieć o płonących stosach, próbach niewinności itp. ale nie będą to sprawy dla Polski zbyt typowe. Możemy sobie z satysfakcją powiedzieć, że prześladowania mniej lub więcej rzekomych czarowników miały w Polsce znacznie łagodniejszy charakter niż na zachodzie Europy.

W każdym bądź razie historia odnotowuje jednak kilka uczesnych zdarzeń tego typu. Otóż, a miało to miejsce w Gnieźnie w wieku XVI rozstrzygnięto przed sądem sprawę o rozwód z racji nieskonsumowania mał-

„czarnoksiężkami” praktykami” małżonki. Jak nie trudno zgadnąć, sprawę wygrał mąż.

Wygrał również sprawę sądową pan Jakub, dziedzic Międzyzlesia. W tym wypadku chodziło o odcienie nosa kobiecie. Jak się okazało zabieg był zupełnie na miejscu. Kobieta była czarownicą, a jak wiadomo u czarownic nos jest piętą, achillesową oczywiście. Z takiego w każdym bądź razie założenia wyszedł wysoki sąd.

Pan na Międzyzlesiu został uniewinniony, działając przecież w interesie niejakiego społecznego. A „czarownica”? No coż po prostu następne wizyty na Lysej Górze składała pozbawiona tej dość zasadniczej ozdoby twarzy. Czy jej brak istotnie uniemożliwiał „praktyki czarnoksiężkie”, nie wiadomo.

A propos Lysej Góry. Etnoграфowie badając stare podania i legendy naliczyli w Polsce Łysych Gór licząc ich dość znaczną. Są one między innymi w Kłeczewie, Zbąszyniu, Sleszynie itp. Chciałoby się rzec — każdy powiat miał swoją Lysej Górę. Podania i gadki Górali spod Nowego Targu mówią, że na Lysej Górze jest „polana pełna kwiatów i ziół do czarowników potrzebnych”. Musimy przyznać, że bardziej ponuro

wyobrażaliśmy sobie to osławione miejsce czarnoksiężkich konferencji. A tu jak widać kwiatki, polanki. Sielanka!

Dr Karol Kornay — autor arcykreatywnej książki „Czary i gusła” pisze, że „czarów używano w dwójakim celu. Albo postugiwano się nimi z chęci szkodzenia osobie drugiej, albo też z chęci przyporządkowania sobie jakichś korzyści”. Dziś wygląda to nieco inaczej. Współczesny „czarownik”-iluzjonista działa wyłącznie „z chęci przyporządkowania sobie jakichś korzyści”. Bo trzeba przyznać, że na popisy iluzjonistów ludzie walą drzwiami i oknami. Potężne są bowiem uroki magii.

JERZY WILMAŃSKI



ANDRZEJ BERKOWICZ



Dzieje łódzkich fortun (IX)

Pewnego dnia gubernatorowi Millerowi w Piotrkowie złożył wizytę Emil Geyer, prezes „Towarzystwa Akcyjnego Wyróbów Bawełnianych Ludwika Geyera”. Emil Geyer chciał wywrzeć na gubernatorze większe wrażenie, wziął więc do towarzystwa pewnego, mało znanego łódzkiego fabrykanta Töpfera, ale za to rezerwowego porucznika artylerii. Töpfer w mundurze rosyjskiego oficera prezentował się godnie, co powinno było zjednać gubernatora — tak przynajmniej wydawało się panu Emilowi. Omylił się jednak. Gubernator Miller odnotował później, że kontrast między wojowniczym strojem, a powtarzanymi przez Töpfera słowami „my fabrykanci...” rozbawił go tylko.

Skąd w ogóle ta wizyta i ten paradny strój, zakrawający na maskaradę? Otóż fabrykanci chcieli się poskarżyć, że działalność powołanej przez rząd inspekcji robotniczej, osłabiła ich autorytet i zmniejszyła dyscyplinę wśród robotników. Pan Geyer perorował: „Zwróć uwagę na coś robotnikowi, a on mi się odgraża: „pójdę na skargę do inspektora fabrycznego”.

Mundur Töpfera nie wiele jednak pomógł i gubernator miał „oswiadczyć tym Niemcom”, że widocznie inspekcja fabryczna zdołała sobie zdobyć zaufanie wśród robotników. Tak jednak nie było, bo nawet zwierzchnik inspekcji fabrycznej w Królestwie generał Brok, zmuszony był w sprawozdaniu swym przyznać, że inspekcja ta nie spełnia swego zadania. W rzeczy samej inspektorzy, carscy czynownicy, byli zawsze przekupywani przez przemysłowców i skarga Geyera u gubernatora Millera była wielce przesadzona.

Ten sam Miller przyznał później w swoim raporcie, że fabrykanci nie mieli właściwie powodu skarżyć się... To co płacili robotnikom nie wystarczało nawet na pokrycie najkonieczniejszych potrzeb. Robotnica u Geyera, zresztą tak samo w innych fabrykach, zarabiała 2 do 3 rubli tygodniowo, robotnik 4 do 6 rubli. Tempo pracy było zupełnie mordercze, dzień pracy ciągnął się od rano do 8 wieczór z godziną przerwą na obiad i półgodziną na śniadanie. Do tego dochodziły jeszcze

zawady z zegarami fabrycznymi, które jak określił historyk ruchu robotniczego Perle-Res „uszczerbły karybnie, przysparzając „młot”, zamienionych w złoto 1891 był rokiem nieurodzaju „niewartości”. W dodatku rok ten przyniósł podwyższenie cen chleba i kartofli, znacznie wzrosły. Pewien robotnik łódzki w anonimowym liście tak pisał wówczas do pastora Angersteina: „Jeżeli my ojcowie rodzin przy 14-godzinnym dniu pracy nie możemy tyle zarobić, aby wyżywić dzieci, to po co mamy pracować dzień i noc dla siebie, dostaniemy chleba w więzieniu”.

W wyniku tej akcji fabrykanci łódzcy zebrani w salach Grand Hotelu w dzień późniejszy wysłali w południe około godziny 1-szej dwie terminowe depeche: jedną do Piotrkowa do gubernatora Millera, drugą do Warszawy do general-gubernatora Hurki. Obie depeche były jednoznaczne: „Trzydzieści tysięcy robotników rzuciło pracę i zmusza pozostałych do strajku, skutkiem czego grozi największe niebezpieczeństwo... W imieniu wszyst-

kich proszę najpokorniej waszą ekscelencję o nieodmówienie koniecznej bezwzględnie pomocy”. W imieniu wszystkich depeche podpisał Scheibler z Poznania. Bardzo się musieli panowie fabrykanci denerwować, skoro w 4 godziny później wysłali drugą terminową depeche do Warszawy, do Hurki, donosząc mu, że strajk rośnie z każdą minutą. Zebrani panowie wpadli w taką panikę, że niektórzy zaczęli się już załamywać, chcąc iść na ustępstwa. Taki Hirsberg, Maunaberg, młodszy Rozenblatt, co zresztą mówili o drobniejszych rybakach, kiedy sam Scheibler, najgrubsza ryba łódzkiego przemysłu, gozłił się na podwyższenie płac o całe 8 proc. i skrócenie dnia pracy o 1 godzinę.

O ile jednak w wysłaniu

depech alarmujących gubernatorów o pomoc wojskową wszyscy fabrykanci byli zgodni, w tej sprawie powstała rozbieżność. Przeciwno „stronnictwu” Scheiblera zdecydowanie wystąpił Poznański i Emil Geyer, wspierając Kunitzera, Szaję Rozenblatt, młodszy Bidermana, którzy zdecydowani byli przeciwko jakimkol-

wiek ustępstwom. Niebawem Poznański i Geyer mieli otrzymać w tej mierze jeszcze potężniejszego sojusznika general-gubernatora Hurkę, który telegraficznie zawiadomił Millera: „żadnych ustępstw”. Miller stał się bezwzględny chorąym tej zasady i wykonał jeszcze jeden rozkaz Hurki. Brzmiał on: „Tłumu nie rozpędzać, ale przeciwnie starać się przyprzeć go do jakiegokolwiek przeszkody, naboju nie oszczędzić, a do jutrzejszego rana przywrócić porządek”.

Polala się obficie robotnicza krew w Łodzi. Pan Geyer mógł triumfować, już w poniedziałek 9 maja wszystkie fabryki ruszyły.

FILANTROPIA I... AKCJE

W pertraktacjach z władzami i robotnikami oraz w naradach fabrykanckich w Grand Hotelu brał udział Emil Geyer, choć nie był jeszcze wtedy prezesem firmy. Gustaw Geyer, pierwszy prezes Towarzystwa Akcyjnego Wyróbów Bawełnianych był już wtedy chory i wraz z żoną wyjechał za granicę na leczenie. Jego ży-

jący syn, też Gustaw, wspomina, że z powodu wyjazdu rodziców mieszkał u stryja Ryszarda na Piotrkowskiej 283, a „strajk nie wywarł na nim większego wrażenia”. Na usprawiedliwienie dodajemy, że Gustaw Geyer — junior liczył sobie w 1892 roku 5 lat.

Ryszard Geyer od chwili powstania Towarzystwa Akcyjnego nie był już oczywiście rządcą w Gajówce, lecz dyrektorem handlowym firmy. Emil Geyer pełnił funkcję dyrektora od spraw technicznych, a w razie nieobecności prezesa zastępował go. To więc on wskazał policji czołowych „podżegaczy”, którzy wnieśli w fabryce strajk. Byli to: Antoni Cybulski, Jan Filipowski, Walenty Klimczak, Józef Piłarszyk, Wacław Raśnicki, Józef Szpidla i Władysław Stanisławski. Podzielili oni losy ogółu aresztowanych po Wielkim Buncie Łódzkim 348 robotników, skazanych na chłosty, rotę aresztancką i Sybir.

W rok później po opisanych wypadkach Emil Geyer został prezesem na miejsce brata Gustawa, zmarłego na skutek zawału serca. Gustaw Geyer umarł młodo, zaledwie w wieku 49 lat, osierocając 4 córki i dwóch synów: Gustawa i Roberta. W testamencie Gustaw Geyer zapisał 3/4 swojego ma-

prezesm Polskiego Towarzystwa Teatralnego.

Teatr w Łodzi miał zawsze kolosalne znaczenie, była to sprawa duchowego oblicza miasta, czy będzie ono polskie czy też niemieckie. Emil Geyer syn prezesa „Łódzkiego Manner Gesang Verein”, w tej walce zaangażował się po stronie polskiej. Po 1905 roku, gdy zezwała cenzura, dyrekcję Teatru „Viktoria” objął młody artysta sceny krakowskiej Aleksander Zelwerowicz, który zaczął forsować wielki patriotyczny repertuar: „Dziady”, „Wesele”, „Irydion”.

Emil Geyer też jako pierwszy ze swego rodu wyłamał się z „łódzkiego getta”, przenosząc się do Warszawy, gdzie zamieszkał w Alei Róż pod nr 2.

W 1897 roku Emil Geyer wspólnie z Kunitzerem, Bidermanem, Grohmanem, Poznańskim i Silbersteinem otrzymali koncesję na uruchomienie miejskiej kolei elektrycznej i zawiązali spółkę pod nazwą „Łódzkie Towarzystwo Elektryczne”.

Pierwszy tramwaj w Łodzi ruszył 23 grudnia 1898 roku, w przeddzień wigilii, po uroczystym otwarciu stacji tramwajowej w obecności Gubernatora Piotrkowskiego i przedstawicieli władz miejscowych. Od ra-

lena (wdowa po Gustawie Geyerze), Jadwiga (żona Eugeniusza), Anna (żona Emila), Geyer oraz panowie Leon Krusche (mąż córki Ryszarda Geyera, Olgi) i Władysław Weil postanowili przeznaczyć 45 tys. rubli z zysku za rok 1902 na gratyfikację dla 3 dzielnych dyrektorów.

Rzecz poniekąd działa się w rodzinie stad i inne wnioski zarządu przeszły jednogłośnie. Nikt nie protestował, więc gdy uchwalono przeznaczyć na pensję dla 3 dyrektorów 45 tys. rubli oraz tantiemy w wysokości 8 proc. od dochodu, co wynosiło 66 tys. rb. Wprost przeciwnie. Protokółant zaznaczył, że „jest to wynagrodzenie w pełni należne za trud włożony w przedsiębiorstwo”. Nawiasem mówiąc protokółant też był oczywiście akcjonariuszem i członkiem rodziny Geyerów.

Na dywidendę akcjonariusze przeznaczyli jak zwykle 25 proc., co dało 250 rb. na jedną akcję.

Spróbujmy więc obliczyć dochody jednego z dyrektorów zarządu na 1902 rok.

Emil Geyer wraz z żoną (żona tylko 10 akcji) rozporządzał 295 akcjami i z tego tytułu pobrał w kasie zarządu 73.750 rb. Z gratyfikacji, pensji i tantiem otrzymał 52 tys. rb., co razem daje 125.750 rb. Nie były to jedyne dochody Emila Geyera, bo czerpał on przecież jeszcze zyski jako akcjonariusz „Łódzkiego Towarzystwa Elektrycznego”, cukrowni „Aszyche”, fabryki chemicznej „Rendziny” i szeregu innych fabryk.

Aby właściwie ocenić te sumy powiedzmy, że roczny zarobek robotnika przy tygodniówce 5 rb., zakładając, że nie miał przerw w pracy, wynosił 240 rb.

Emil Geyer gdy umierał zostawił swoim spadkobiercom 2.313.227 rubli 68 kopiejek, z czego połowę otrzymała żona Anna i po 1/8 dzieci: Karol, Emil, Anna i Gaston w akcjach, obligacjach, różnych papierach wartościowych, które z każdym dniem pomnażały ten majątek. Za samo zinventaryzowanie majątku Emila Geyera i podzielenie go pomiędzy spadkobierców adwokat i notariusz wzięli 17 tys. rubli. Podział majątku Emila Geyera został dokonany 12 sierpnia 1911 roku w kancelarii notariusza Eugeniusza Trojanowskiego, w miesiąc później okazało się, że podana suma spadku 2.313.227 rubli 68 kopiejek jest już nieaktualna, bo tymczasem akcje i obligacje „wypracowały” dalszych 168.675 rubli.

Tak „pracował” pieniądz Emila Geyera.

Geyerom z tego okresu Łódź zawdzięcza Łódzką Szkołę Rzemiosła o. o. Sulejanów wystawioną kosztem 20 tys. rb., pawilon w szpitalu Kochanówka itp. Była to jednak tylko kropla w morzu dochodów Geyerów.

Nie wzruszało więc wcale robotników, gdy czytali na przykład, że Geyerowie ofiarowali „na chłómkę dla małoletnich przestępców uwięzionych w postaci 3 metrów materiału i chustek do nosa”.

Ci niewdzięczni robotnicy sprawili też, że w dwa lata po opisanym wyżej walnym zebraniu akcjonariuszy, zebranie roku 1905 odbyło się nie, jak zwykle, w Łodzi, w lokalu zarządu firmy, lecz w Warszawie w salonach recepcyjnych „Bristol”.



lać czytamy, że prezesem radę łódzkiego Banku Kupieckiego był Emil Geyer, prezesem zarządu Ryszard Geyer. Dla odmiany w Łódzkim Banku Handlowym zostali sami Scheiblerzy. Poza tym ten dotyczył nawet i instytucji charytatywnych. Jeśli przewodniczącą przytulku dla położnic była pani Jadwiga Geyerowa i skarbnikiem był pan Ryszard Geyer to na przykład Scheiblerzy „uszcześliwiali” z kolei przytułek dla sierot.

Z zachowanych protokołów walnych zebrania akcjonariuszy Towarzystwa Akcyjnego „Ludwik Geyer” z tego okresu, widać, że Geyerowie lubili uprawiać filantropię.

Oto na przykład w 1903 roku Walne Zebranie Akcjonariuszy postanowiło przeznaczyć 15 tys. rubli na szpital dziecięcy.

W roku 1903 panowie Emil i Eugeniusz Geyer obchodzili 35-lecie swojej pracy w firmie, a Ryszard Geyer 25-lecie. Przybyli na zebranie z tej okazji akcjonariusze, oprócz wymienionych jubilatów, panie He-

okresowo przewyższała go te obroty. Widzewska Manufaktura, ale wypłacał najwyższe dywidendy, bo przeznaczał na to aż 25 proc. zysku, podczas gdy Scheibler 11 proc., a Poznański 14 proc.

W 1898 roku zakłady geyerowskie przy 5.645.000 rubli obrotów, 2.760 robotników i 37.996 wrzecionach osiągnęły 670.000 rubli zysku. Przypomnijmy, że Ludwik Geyer w okresie prosperity zarabiał 50.000 rubli rocznie. Gdy Emil Geyer umierał w 1910 roku zakłady geyerowskie dysponowały już 46.116 wrzecionami, zatrudniały 4.020 robotników, a obroty ich sięgały 11.300.000 rubli, dając 830.000 rubli zysku. Zarabiali więc rocznie tyle, ile wart był prawie cały majątek Ludwika Geyera.

Emil Geyer był więc człowiekiem, który miał w Łodzi coś do powiedzenia... Był członkiem Urzędu Starszych Zgromadzenia Kupieckiego, wiceprezesem Komitetu Giełdowego, prezesem zarządu szpitala Anny Marii i odnotujmy rzecz ciekawą —

TELEWIZJA

Postać, czyli jeszcze jedna szansa telewizji

Oczywiście telewizji łódzkiej. A oto w czym rzecz się zakłada. Wiemy doskonale, że w dawnych czasach, gdy ustalano jakiś specjalizację poszczególnych ośrodków telewizyjnych, Łódź przydzielono niejako koncerty rozrywkowe. No i różnie z tymi koncertami bywało — zdarzały się udane, zdarzały się nieudane a nawet fatalne. Można wyliczyć sto i jedna przyczynę takiego stanu rzeczy, ale fakt pozostaje faktem, że — mimo klasycznego studia — Warszawa ma w stosunku do Łodzi poważny handicap. Po prostu ma na miejscu — i na własność — silniejszy zespół autorów i aktorów, szczególnie aktorów i to aktorów o dużej estradowej klasie.

I jeżeli z przyjemnością zauważamy, że z łódzkich aktorów korzysta się w programach L.O.T. coraz częściej i to niejednokrotnie z pełnym sukcesem, to już z aktorami bywa trochę inaczej. „Watuje” się nimi audycje, przyznając pierwsze miejsce importowanemu silom o uznanych nazwiskach, które chętnie powtarzają swoje „koronne” monologu czy piosenki i na tym koniec.

Zapewne — nie mamy w Łodzi ani Krukowskiego, ani Rudzkiego, ani Dymyza. Nie mamy Bielińskiej, Kaliny Jędruskiej, Jankowskiej, Grudzińskiej. Także nie mamy Olgi i Jaremy-Stepowskiego — dłużej by zresztą wyliczać zanim lista stołecznych gwiazd się wypełni.

Ale czy znaczy to, że nie mamy już żadnej szansy?

Pomyślmy — jest aktor i aktor. Jest aktor, który wchodzi na scenę w konkretną rolę i sa postacie, grane przez konkretnego aktora. Na przykład Dymyza — kimkolwiek nie będzie on na scenie, estradzie, czy ekranie filmowym, zawsze pozostanie sobą — sympatycznym, lubianym ewangelikiem. Dodkiem, Dymyza po prostu. Gdyby grał Hamleta, byłby to Hamlet grany przez Dymyza — na pewno do innych Hamletów nie podobny, swoisty.

Inaczej Przybora i Wasowski — oni wchodzi po prostu w rolę „starszych panów” i już — zdaje się — póki żyją z niej nie wyjdą. Niech grają

kogo innego, a i tak widzą po wie: — Oho, starszy pan...

Tak jak o Cybulskim powie: — Oho, Maciek, tak jak powie o Kobiele: — Oho, Piszczek...

Nie wchodząc w to, czy takie zespolenie się aktora z określoną postacią, jest dla niego w perspektywie fortunny czy też nie, możemy chyba dość śmiało powiedzieć, że łódzkim koncertom rozrywkowym brakuje takich tradycyjnych, wylansowanych postaci, które znalaby cała Polska, tak jak cała Polska zna „starszych panów”. Myślę na pozór nie nowa, jako że pamiętamy — zakończony zresztą zupełnym fiaskiem — konkurs na „postać sceniczną”, ale nieco zmodyfikowaną — chodzi nam bowiem nie o amatorów, a o aktorów z prawdziwego zdarzenia i to aktorów łódzkich aktorów którzy są stale na miejscu.

Czy są tacy aktorzy, wystarczająco charakterystyczni i „czujący” estradę — no, chyba są. Dla próby rzucmy może kilka nazwisk: Gustaw Lutkiewicz, Ludwik Benoit, Janina Jaroszyńska... Może ktoś z młodszych — na przykład Mariusz Gorczyński, albo też nie znany raczej szerszemu ogółowi, a posiadający naprawdę ogromną vis comica (na ep prywatnie dając słowo honoru) aktor Teatru Ziemi Łódzkiej — Kazimierz Jaworski??

Nazwiska można by mnożyć, ale to już do nas nie należy — chodzi raczej o samą ideę. Druga to już koncepcyjka, takie kukulce jajo, podzucenie na redakcji estradowej L.O.T. — pierwszy, o ile Czytelnicy przypominają, była myśl stworzenia „na bazie” opery i operetki własnego tzn. ściśle z telewizją związanego zespołiku baletowego, możliwie lepszego od zespołu Mam bo-girls...

Oczywiście z tych kukulczych jajek może się nie nie wyłęgnąć, ale przepowiadamy uroczystie, że jeżeli czegoś szybko nie wymyślimy, to Warszawa zmajoryzuje nas również w zakresie koncertów rozrywkowych...

Pozostaną nam wówczas „niedzielne biesiady”. Też do brze...

JERZY PANASEWICZ

Prezes Sokorski w Łodzi czyli za „Matysiaków” i „Wszystkie Dni Tygodnia”

Parę osób może to zauważyć. Dwaj redaktorzy tej strony na pewno. Oto pod koniec lutego stuknęło nam pięćdziesiątka. Pięćdziesiątka numer regularnie ukazującej się strony, na której przeważnie walczymy z telewizją. To nie było coś! Bo nie było czym jest walka z cieniem. A przynajmniej za coś takiego uważaliśmy nasze o telewizji pisanie, nasze apele, propozycje, krytykę, wskazywanie dróg, prośby, groźby i insynuacje pod adresem światłego kierownictwa warszawskiego, a nawet, co większej wymagało odwagi, łódzkiego. Niki na nasze wołania nie odpowiadał, czasem tylko jeden nasz wrotny czytelnik inż. B. zatelefonował, pogratulował że dobrze było, ale zaraz miał pretensję, że „za mało osip”. Ze już najwyższy czas, żeby iść, ale jemu to wolno.

Na szczęście niedawno przybył do naszego miasta prezes Komitetu do Spraw Radiofonii i Telewizji Polskie Radio Włodzimierz Sokorski. Nasz przedstawiciel włączony dla niepo-

znaki w tłum studentów, zasłonięty 10 butelkami piwa, modnego w Klubie Studenta, zapytał znielacka.

A czy w Warszawie czytacie, co pisze o radio i telewizji prasa „terenowa”? Czy bierzecie sobie jej uwagi do radiofonii — telewizyjnych serc?

Na to rzecze Sokorski: — Codziennie rano znajduję na swoim biurku stertę wyników prasowych dostarczonych mi przez „GLOB”. I czytam.

Nasz przedstawiciel już miał zapytać — czy nie jest to powodem siwych włosów prześmiał, ale na szczęście spojrzal i wycofał pytanie. Zrozumiał, że to znacznie więcej.

A więc tak: nasza pisanina nie idzie na marne. Ktoś to jednak czyta. I niech mu będzie za to wiekista chwala, bo cierpi niewinnie za grzech współzmiomków, za „Matysiaków” i „Wszystkie Dni Tygodnia”.

Rozporządza się dyskusja. Pwien dziennikarz podniósł sprawę audycji robotniczych nagrywanych w zakładach pra-

Kwitujemy odbiór

„W poszukiwaniu postaci scenicznych”

W poniedziałek 30 stycznia Warszawa nadaje trzy jednoaktówki Luigi Pirandella („Patent”, „Człowiek z kwiatem w ustach”, „Dzban”) pod wspólnym tytułem „W poszukiwaniu postaci scenicznych”. Widowisko w inscenizacji i reżyserii Bogdana Trukana

bardzo się nam podobało — szczególnie druga jednoaktówka będąca właściwie jednym wielkim monologiem Gustawa Holoubka. Holoubek — znakomity. Jeżeli powtórzenie (bądź „na żywo”, bądź z tele-rekordingu) jest możliwe, bardzo prosimy.

„Kilka róż poproszę”

Wczem — wcale przyjemny koncert rozrywki wy. Nadala go Łódź w ubiegłą środę 1 lutego i musimy przyznać, że obejrza- liśmy go nie bez satysfakcji. Rzecz zrobiona została wy- łącznie łódzkimi siłami, zarów- no jeżeli chodzi o wykonaw-

piosenki były nowe i że wy- szły spod piór łódzkich kom- pozytorów i autorów (m. in. Tadeusza Dobrzyńskiego, Ta- deusza Woźniakowskiego, An- drzeja Dolegowskiego), zale- my również na plus piosenka- sko-aktorskie osiągnięcia Bar- bary Połomskiej, Danuty De-



Tadeusz Woźniakowski
Fot. Lech Łyszkowski

ców, jak i o autorów — oka- zało się, że nie są to siły tak- bardzo ostatnie... Reżyserował Kazimierz O- rzech. Sprawnie, potocznie, może tylko nie zadbał o tem- po, a to w koncercie rozryw- kowym rzecz ważna. Ze jed- nak dał nam koncert kame- ralny, utrzymany w nastroju „czysty” — wybaczymy mu to niedociągnięcie.

Mniej już podobała się nam Lucyna Stratyńska, której re- żyser nie umiał jakoś konse- kwentnie ustawić i popraw- dzić, a już najmniej Mariap Gamski, który nie mając szczególnej ochoty na pami- ciową oparowanie tekstu, czy- tał go ukryty za kwiatkami.



Barbara Połomska
Fot. Lech Łyszkowski

Dowcipną oprawę plastycz- ną zaprojektował Jerzy Ci- checki. Mocna, konturowa kreska na zwykłym kartonie, bez markowania głębi, ale za- to z dużym poczuciem humo- ru.

Zaliczmy jeszcze na plus niebanalne opracowanie stro- ny muzycznej przez Stanisła- wa Gerstenkorną, zaliczmy na- plus fakt, że wszystkie

A pastiche z „Kwiatów pol- skich”, był chyba wcale dow- cipny i można się było trochę polatygować...

J. P.

PS. Nie rozbilibyśmy z tej o- statniej sprawy tragedii, gdy- by nie fakt, że „niedocięty” tekstów powtarza się w tele- wizji stanowczo zbyt często.

cy. Koncerty te stały się ku- powana za zakładowe pienia- dze radiowa reklama nie or- dukcji — to byłoby pół biedy — ale dyrektorów, kierowników itd. Ograniczony przez klien- ta — płatnika zakres tematycz- ny audycji nie interesuje w efekcie szeroki rzesz radio- słuchaczy. A przecież płać on! poważne sumy za korzy- stanie z programu radiowego.

Oni są najważniejszym klientem Polskiego Radia. Znaczenie ambiciozniejszą pozycję z tej dziedziny są koncerty „Na dywaniku”.

Potem poderwał się z fotela działacz kulturalny B. i zawo- lał: — Kiedy skończycie z „Ma- tysiakami”? Kiedy telewizja łódzka przestanie koszmarnie „Wszystkimi Dniami Tygod- nia”?

Potem ktoś napadał na Łódź-

ki Koncert Zyczeń: że to niby radiostacji na Chojnach nie słychać, a nadają życzenia do Brazylii i Kanady, że ciągle tylko „wszystkiego co się szczęściem zwiła” i „głównie wygranej w toto-lotka” — zy- cza...

Potem odbywało się już wszystko na zasadzie reakcji łańcuchowej i wybuch był bli- ski, gdy wstał młody poeta i, Ten głos omal nie uspił się, a przynajmniej uspokoił ją zupełnie.

No i tak to było. A parę dni potem ustyszeliliśmy prywatnie, że prezes Sokorski wziął sobie uwagi do serca i mówił o nich na posiedzeniu radio-komitetu w Warszawie.

Może będzie chleb z tej mą- ki.

(aw)



KUPIĆ, NIE KUPIĆ

Co to takiego KKM?

KKM, to Koresponden- cyjny Klub Młodych grupu- jących młodych pisarzy pro- wincji i działający pod wy- sokim patronatem Związku Młodzieży Wiejskiej. W Ło- dzi istnieje jedna z żywot- niejszych grup KKM licząca około 30 osób.

Piszemy o tym z tej racji, że właśnie za dwa dni od- będzie się w naszym mieście Ogólnopolski Zjazd Pisarzy Wiejskich. W dniach 11-12 lutego Łódź będzie gościła około 130 młodych pisarzy polskiej prowincji. Na zjazd przybędą również i przed- stawiciele starszego pokole- nia. Między innymi Ja- Przybysz, który wygłosi ra- rat o prozie poetyckiej, Koprowski, który mówił dzie o noweli...

Poza tym gośćmi zje- będą: Mieczysław Jas- Artur Miedzyrzecki, S- sław Pięta, Wilhelm i inni.

W czasie owych dwu- miodzi pisarzy wystąpi- miastach naszego wojew- twa na około 12 wieczy- autorskich. Z okazji zje- wydana została również- nadniówka pt. „Próby il- ckie”.

„Zimowe spotkania”



Basia Kwiatkowska wśród kociaków
Fot. A. Kwasniewski

Klub Studenta organizuje od jakiegoś czasu tzw. „zi- mowe spotkania” w Domu FWP w Kolumnie. Pomyśl jako żywo piękny. Niedawno spotkano się tam z bawiącą czasowo w Polsce Barba- rą Lass-Kwiatkowską-Polań- ską. (Celowo piszemy „ba- wiącą czasowo”, bo, jak się dowiadujemy ze źródeł nie- oficjalnych p. Barbara Lass ma zamiar kontynuować swą karierę za granicą).

Klub Studenta planuje zresztą spotkania z postacia- mi naprawdę ciekawymi. I to należy wisać mu na plus.

Jak jednak informuje oceniony „Express”, op- za tę imprezę dla stud- tów wynosi 60 zł. Zwa- szy zawrotną wysokość- tualnych stypendiów o- opłata za jeden przyzwy- my, że przyjemny wiec- wydaje się nieco wysu- wana. Dlatego student- których nie stać na tak- ważny wydatek inform- my, że Barbarę Lass o- dać można również w- wiarai „Honoratka”. Za- mo.

Polska stereofonia

Dowiedzieliśmy się ostat- nio, że w Łódzkich Zakładach Radiowych przy ul. Wróblewskiego pracują nad pro- totypem pierwszego polskie- go gramofonu stereofonicz- nego. Podobno tzw. wkładka adapterowa (najważniejszy fragment urządzenia) jest już skonstruowana. W tej chwili trwają prace nad urządze-

nem napędowym, które- również bardzo istotne w- wym adapterze, bowiem o- dził ją o absolutną elimi- cję jakiegokolwiek szme- Mamy jednak nadzieję, że prace zostaną nieba- szczęśliwie zakończone, i- już niedługo ujrzymy w e- pach pierwsze polskie a- tery stereofoniczne.

I znowu laureat

Maluczek, a „Odgłosy” sta- na się piśmie redagowa- nym wyłącznie przez laur- atów. Po Zbigniewie Chyliń- skim (wyróżnienie redakcji „Dookoła Świata” za repor- taż) i nagrodą tyg. „Odgłosy” nagrodą po Jarosławie M. Rymkiewicz, który otrzy- mał nagrodę „Nowej Kul-

tury” uhonorowano red- tora naczelnego Wiesła- Jażdżyńskiego.

Redaktor Jażdżyński otr- mał bowiem w tych dni- nagrodę Ministerstwa Ku- tury i Sztuki za działal- publicystyczną na tem- kulturalno-oświatowe.



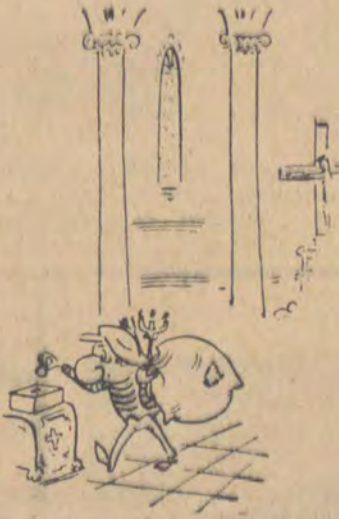
Redaguje Zespół 9 Wydawca Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244-11. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,- kwartalnie zł 12,-. Redakcja nie zamawiających reklam nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” O Druk- RSW Prasa — Łódź, Zwirki 17. O Zam. 333. I. 1981 r. L-4

Najostrzejsze słowa



BARDHYL

FICO



Niespodzianka: miniaturowa Albania posiada interesujące pismo satyryczne, dobrze redagowane, na przyzwyczajonym poziomie graficznym. „Hosteni” — co oznacza po albańsku zastrzyżony koniec drzewa od sztańdaru — kłuje celnie i dowcipnie, w czym nie miały udziału rysownicy.

Bardhyl Fico, podpisujący się krótko BAR — należy do tzw. „flarów” pisma. Długość jego twórczości jest humor, czysty humor sytuacyjny, wolny od zjadliwości i żółci. Jednocześnie zaś — żarty Bara mają nowoczesną formę, wszystko opowiedziane zostaje rysunkiem. Fico całkowicie odrzucił słowo. Ułubioną formę wypowiedzi Albańczyka stanowi historyjka obrazkowa, krótkie filmiki z niespodziewaną pointą.

Fico nie od razu został rysownikiem — humorystą. Po skończeniu szkoły średniej służył w wojsku, potem był geometrą. Zawsze jednak pasjonowało go rysowanie, już w gimnazjum kreślił karykatury swoich profesorów. Stała współpracą z „Hosteni” Fico zaczął zaledwie cztery lata temu, dziś cieszy się w Albanii znaczną popularnością, sporo jego rysunków drukują także magazyny włoskie i greckie.

Obecnie Bar studiuję matematykę. „Bardzo mi się to przydaje — zwierzał się niedawno w wywiadzie prasowym — chciałbym aby w moich rysunkach dowcip był wymierzony z matematyczną precyzją...”

(JERT)



NASZA KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów:

Polono — 1) Niezbędny do polowania na wietoryby, 2) Owoc południowy, 3) Owocowy lub warzywny, 4) Miasto nad Dunajem w pobliżu Morza Azowskiego, 10) Sześciu zatonionego okrętu, 12) 19. II 1981 r., 13) Rodzaj dwustronnego zamku, 14) Pismo dyplomatyczne, 15) Przyrząd do przygotowywania wody na herbacie, 16) Polak, 22) Popularny mebel, 23) Ptak domowy, 24) Kołce przytwierdzone do butów turystycznych, 25) Dział techniki zajmujący się napędem pojazdów, 26) Roślina warzywna, 33) Stary sprzęt domowy, 35) Poważnie, bardzo wolno (termin muzyczny), 36) Imię żeńskie, 37) Sztuczne nadbrzeże w porcie, przy którym cumują statki, 38) Zława, 39) Koce na grzbiętach koni, 40) W dawnych czasach nazwa szóstej klasy, 41) Mineral, fosforan wapnia zawierający fluor, chlor lub grupę wodorotlenową; używany do wyrobu sztucznych nawozów.

Pionowo — 1) Mieszka w Indiach, 2) Postawa, układ postaci, mina, 3) Nowa wiadomość, 4) Robota, 5) Śmiałość, dzielność, nieustraszonosć, 6) Persja, 7) Ozdobny budynek w parku, 8) Czastka materii, 11) Przecinek, 16) Imię żeńskie, 17) Chmura, 18) Stopień podoficerski lub oficerski, 19) Mityczna rzeka, 20) Imię żeńskie, 21) Taryfa, zestawienie opłat za pewne usługi, 25) Wraz z Eufratem tworzy rzekę Szat-el-Arab, 26) Imię żeńskie, 27) Borówka, malina, poziomka itp., 29) Planeta, 30) Skaleczenie, 31) Owoc południowy, kolor, 32) Ognisko górskie, 34) Zasadnicza część posagu, 36) Korab.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 46.

Polono — Sienkiewicz, Portos, karbol, parawan, szew, harc, koncept, usta, klon, partacz, amator, zwitek, szaradziści.

Pionowo — serce, Ezop, Irka, Iran, zebra, postura, samowar.



„Rozwój” — dziennik polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny, literacki i ilustrowany, rocznik 1899, miesięce I—IV, nry 26, 46, 51, 42, 46, 66, 66, 93, 95, 130).

TRAMWAJE ŁÓDZKIE...

Od 1 lutego (1899) zaczęły kursować wagony z dworca na Stare Miasto. Wkrótce tramwaje kursujące dotąd z Helenowa do Paradyżu, będą dochodziły nawet do Górnego Rynku!

OFIARA NA POLITECHNIKĘ WARSZAWSKĄ

Na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa Akcyjnego L. Geyera w Łodzi uchwalono wypłacić 5.000 rb na politechnikę warszawską...

USTAWA O LEKARZACH

Pogotowie ratunkowe w Łodzi. Ministerium spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę doraźnej pomocy lekarskiej w Łodzi.

PRZEKROCZENIE PRZEPISÓW DROGOWYCH

Za przekroczenie przepisów o jeździe po mieście w ostatnim tygodniu połączono do odpowiedzialności znow 15-tu dorożkarskich mistrzów batali!

ŁÓDŹ—WARSZAWA W TELEFONIE

Aparat telefoniczny, przez który robiono w tutelstym zarządzie poczty i telegrafu próby połączenia telefonicznego z Warszawą okazał się jeszcze niezupełnie odpowiednim i został odesłany do stolicy...

Z SEKCJI TECHNICZNEJ

W istniejącej tu Wyższej Szkole Rzemieślniczej założono bezpłatną szkołę rysunkową, z której korzysta już 600 uczniów. Na lekcje rysunków technicznych uczęszczają również majstrówie fabryczni.

W ŁÓDZKIM SALONIE ARTYSTYCZNYM

Na wystawę złożono 24 obrazy p. Wł. Nalecza o-

parte na motywach szwedzkich. Dzieła utalentowanego malarza stanowiły nawet na warszawskiej wystawie siłą pociągającą.

Art. malarz Altman wystawił w salonie 13 prac wyobrażających widoki z Inowłodza i kilka portretów. Malowane z dobrym zacięciem przy żywej barwie, sprawiają wrażenie bardzo dodatnie.

Ruch sprzedaży w Salonie panuje dość dobry i ożywiony.

ODDAM DZIECKO

Oddam swe dziecko na własność — dziewczynkę nie chrzczone. Wiadomość ul. Główna nr 46 u Józefa Sikorskiego.

Z TOWARZYSTWA CYKLISTÓW ŁÓDZKICH

Na ogólnym zebraniu Łódzkiego Towarzystwa Cyklistów wybrano przez aklamację na kapitana St. Makarczyka, na sekretarza p. Kupkę, na kasyera p. Goldmana. Przyjęto trzynastu nowych członków. Obrady były prowadzone przeważnie w języku polskim.

MILY PASAŻER...

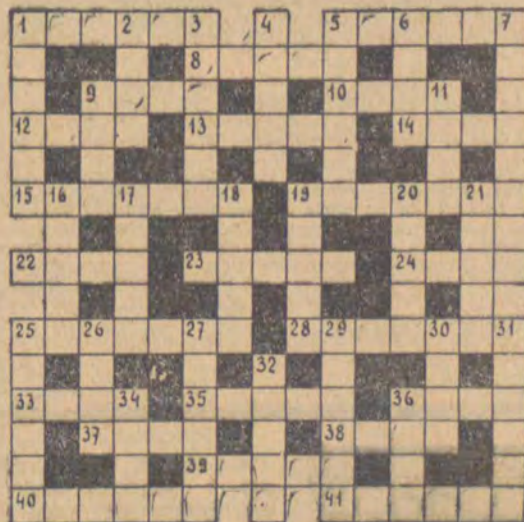
Do dorożki nr 429 wsiadł wczoraj jeden pan elegancko ubrany i kazał dorożkarzowi jechać do Rudy Pałanickiej. Przed domem nr 116 na ul. Piotrkowskiej zatrzymał dorożkarza dla załatwienia interesu, a ponieważ brakło mu „drobnych” poprosił dorożkarza o danie mu na chwilę 50 kopiejek. Po otrzymaniu gotówizny znikł pasażer bez śladu, a dorożkarz czekał na niego napróżno trzy godziny, jako „zajęty”...

NOWA NAUKA — PEDOLOGIA

„Dziś już coraz więcej zyskuje prawo obywatelstwa maksyma, że „Ażeby dziecko SKUTECZNIE uczyć, trzeba je przede wszystkim ROZUMIEĆ”. Dziś nie można już postępować z dziećmi wedle starej recepty, która za jedyny środek znała różę tylko, jak poważnie zapewniano, według rady samego Ducha św. Kropiono też różgą wszystkich uczących się bez względu na wiek i stan. Losi tego doświadczali nie tylko biedacy, ale również i synowie najwybitniejszych osób... Tak to, że studiów nad umysłową stroną dzieci, charakterem, postawą, umiłowaniem utworzyć specjalną naukę PEDOLOGIE. Oby rozwój tej nauki znalazł jak najszersze zastosowanie!

Wybrał:

ZDZISŁAW KONICKI



Karpacz, Hezlik, trans, lotka, poza, trud, zwis.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1) Józef Nowak, Kępno, ul. Kilińskiego 3.

2) Witold Rychter, OPW Legnowo k/Bydgoszczy.

odgłosu str. 11

Na temat miasta

Tym razem felieton nie ma nie wspólnego z tematyką ubiegłego tygodnia poświęcony jest „rzeczom przyszłym”. Niebawem szpalty naszych pism zaroją się od różnego rodzaju wypowiedzi na temat nadchodzących wyborów. Jest to sprawa, która zajmie umysły „wszystkich warstw, stanów i zawodów”. Jak byśmy powiedzieli dawniej. Dziennikarze i publicyści uderzą w swoje zawodowe „tam-tamy”, sypną się jak z rogu obfitości cyfry, wykazy, zestawienia, następujące po sobie i radni, posłanki i radne zdawać będą rachunek ze swojej działalności, niejedni się może zawstydzą, niejedni zbierze oklaski, nowi kandydaci będą się przedstawiać swoim wyborcom, dyskutować z nimi programy. Słowem, zacznie się ruch w interesie, już dziś można przeczuć atmosferę nadchodzących dni.

Ale nie tylko posłanki i posłowie czynią w takich chwilach rachunek sumienia, czynią go wszyscy wyborcy także, ich prace w końcu się sumuje, pracę minionych tygodni, godzin, minut. Jeżeli stwierdzamy, że łódzki przemysł włókienniczy wytwarza około 40 proc. produkcji krajowej, blisko połowę, to skwitować przecież trzeba

pracę łódzkich włókienników, włókienników przede wszystkim.

Sądzę, że Łódź, jak żadne inne miasto w Polsce, nadsię do tego rodzaju penetracji rachunkowo — sumie. Niowej. Nie tylko ze względów formalnych, jako wielki ośrodek przemysłu i jedno z największych skupisk klasy robotniczej, jako wielkie centrum naukowe, administracyjne i gospodarcze, ale także ze względów historycznych, jako miasto bun- i walk rewolucyjnych.

Przeobrażenia, którym podlega Łódź, zasługują na wnikliwą uwagę. O naszym mieście kursuje dużo sprzecznych opinii, znajdują one wyraz w drukowanych reportażach i wypowiedziach ludzi tzw. „prostych” i on tak zwany „świecznik” byli tacy, którzy odsądza miasto od czi i wiary, umieli wyszukiwać właściwe motywy, którzy uciekali z niego, nie znajdując tutaj odpowiedniego klimatu dla swoich „wrażliwych” dusz, jest to miasto dobre i zte, ponure i bohaterskie, już te epitety wystarczają, aby go nazwać ciekawym. Istotnie, jest to ciekawe miasto, ze- wnętrnie również ciekawe, mimo że ulice są przeważnie

brzydkie, szare, są miejsca, które zachowały swój stary, dzie- i nstawiczny wyraz, są jeszcze historyczne bruki, ciemne podwórka. Ale idziesz oto na przykład ulicą Nowotki, przy zbiegu Uniwersyteckiej otwiera się przed tobą szeroka droga warszawska, a nieco dalej, z lewej strony, na wzgórzu kolorowe osiedle, nowe miasto, nie znałmy go przedtem, architektki go wymyśliłi, teraz jest, ludzie w nim mieszkają. Prawie wszystkie wy- łoty łódzkich ulic kończą się podobnymi akcentami, nazwy osiedli są znane w całej Polsce.

W dyskusjach przedwybor- czych nie sposób ominąć tych zagadnień, które włączają się z nowym osiedlem. Nie chodzi przecież o mechaniz- ne przeciwstawienie, że przed wojną było tak, a dzisiaj jest tak, że dawniej co ósmy mieszkaniec Łodzi nie umiał czytać ani pisać, dziś zaś w ośmiu wyższych uczelniach studiują przeszło dziewięć tysięcy słuchaczy, że rozwija- ją się instytuty naukowe badawcze, placówki Polskiej Akademii Nauk, instytucie kulturalne. Chodzi o to, w jakim modelu mieszczą się wszystkie te cyfry, w jakim kierunku przeobraża się nasze miasto, jakie nowe funk- cje zyskuje, których dawniej nie miało, jak z dawnego, kolonialnego miasta prze- kształciło się w miasto ludzi pracy, którzy urządzają swoje życie — mimo trudności, mimo braków — coraz lepiej, coraz piękniej. „Chcesz jadać chleb z szynką, głosuj za je- dynką”, namawiano przed laty, dziś pieniądzo wybor- cze zastępuje poważna dys- kusja. Co dało lepsze wyniki, sprawdzamy na każdym kro- ku.

„Miejsce na górze”

Angielscy „Young angry men” byli przed kilku laty sensacją kulturalną i wywarli duży wpływ zarówno na literaturę jak i teatr a także plastykę. Teraz to już w pewnym sensie „klasycy”, nie mniej jednak w dalszym ciągu przez podjęcie tematyki współczesnej i operowanie nowoczesnymi środkami — pozostaje w modzie.

Jednym z grupy „młodych, gniewnych ludzi” jest John Braine, autor „Room at the top”, książki wydanej u nas pt. „Wielka kariera”. Jego to właśnie powieść przeniesiono na ekran, a przed tym zrobiła ona międzynarodową karierę. Są to właściwie dzieje lajaka o nazwisku Joe Lampton. Młody człowiek przybywa do przemysłowego miasta Warnley i jego plany życiowe ograniczają się do zdobycia bogatej żony, aby poprzez nią wydzwignąć się, zając „miejsce na górze”. Środkiem do uźródłowienia tych zamierzeń miała być bogata Susan, jedynaczka milionera Browna. Joe w trakcie realizacji planu napotyka kobietę, która kocha go miłością szczerą i głęboką. Dla niego także nie jest to banalna przygoda. Jednakże uznaje on nadrzędność życiowego planu bogatego mariażu i poświęca dla niego własne szczęście. Joe wejdzie do wyższych sfer, będzie na rautach w wielkim pałacu, ale w jego zwycięstwie jest posmak goryczy, gdyż za swój sukces zapłacił życiem ukochanej kobiety.

Braine a za nim realizatorzy „Miejsca na górze” nie wahają się ostrymi krechami rysować stosunki panujące w społeczeństwie angielskim. Pokazano jak brutalnymi metodami niszczy się niewygodnych ludzi, jak można wykorzystując stanowisko i pieniądze zmuszać do uległości. Nie uroniono nic z ideł przewodniej powieści, sylwetki ożywione na łamach powieści równie plastycznie jawią się na ekranie. To wielkie osiągnięcie reżysera Jacka Claytona zostało ocenione należycie — „Oskar” w 1959 r. za najlepszą adaptację „Oskar” dla Simone Signoret za najlepszą kreację zagraniczną i wreszcie nagroda dla tej samej aktorki na Festiwalu Filmowym w Cannes. (1959 r.). Film zasługuje na zaliczenie go do grona najlepszych w sezonie, gdyż oprócz

swych wartości społecznych, reprezentuje również wysoką rangę artystyczną, szczególnie jeśli chodzi o stronę aktorską. Laurence Harvey jako Joe ma wiele świetnych momentów, szczególnie w scenach końcowych, kiedy to zlamany, świadom swej klęski, szuka zapomnienia i próbuje uciec ze świata, który go już bezpowrotnie wciągnął, kapitalna kreacja Simone Signoret przez większość filmu dominująca nad filmem, czy wreszcie młodziutka Heather Sears, pełna uroku jako naiwna Susan — to wszystko postacie pełne życia, przekonujące do końca.

Nie jestem entuzjastą dubbingu, ale rozumiem, że wiele filmów ze względu na ich dialogowy charakter trzeba poddać tej operacji.

HENRYK WALENDA



KAI FISCHER — młoda zachodnio-niemiecka gwiazdka filmowa. Debiutowała w r. 1955 u boku znanego Marcello Mastroianniego w filmie „Chleb i słoniec”. Zachodnie magazyny filmowe określają ją mianem „kandydatki na wampa”.

— Dobry wieczór, czy Pani Barbara Polomska przy aparacie?
— Tak, słucham.
— Mówią „Odgłosy”. Prosiłbym Pani o odpowiedź na kilka pytań. Przy jakim zajęciu domowym zastał Pani nasz telefon?
— Oglądam w tej chwili telewizyjny „Klub Myszki Miki” — bardzo lubię tę audycję.
— W jakiej roli można będzie Pani ujrzeć na ekranach?
— Niestety, nie grałam ostatnio w żadnym filmie. Moje kontakty jako aktorki ograniczają się w tej chwili do telewizji i teatru. W Teatrze Powszechnym próbuję rolę w wodewilu Marianowicza i Minkiewiczza „Wesołe miasteczko”.
— Pani najbardziej udany bal w tegorocznym karnawale?
— W ubiegłą sobotę bawiłam się z moim mężem na Balu Prasy.
— Młó nam to zanotować. Serdecznie dziękujemy.

Rozmawiał: A. N.

„Bunt kapitana”

W Czechosłowacji oprócz nowoczesnie zbudowanej i wyposażonej wytwórni na Barrandowie koło Pragi, filmy fabularne produkuje również, choć w mniejszych ilościach, wytwórnia w Bratysławie — stołecy Słowacji. Poziom artystyczny kinematografii słowackiej bywa raczej słaby. Przykładem tego jest, niestety również film Palo Bielik „Bunt kapitana”.

Reżyser wziął na warsztat ciekawy dramat zbuntowanego oficera faszystowskiej armii słowackiej. Bohater filmu jest hardym i junańskim „Janosikiem”, a jednocześnie człowiekiem mającym swe słabości. Obok buntu, przeciwko zdrajcom, przyzywa boleśnie zdradę żony. Reżyser nie zdołał jednak ukazać konsekwentnie ani dramatu psychologicznego jednostki, ani też walki partyzantów radzieckich i słowackich z faszystami księdza Tiso i okupantami hitlerowskimi. Film rozpadł się na wiele zbytecznych wątków, scen i scenek. Powstał utwór chaotycznie zbudowany; film bez dramaturgii, bez rytmu, pozbawiony sensownego montażu. Porażka reżysera jednak zaskakuje, dlatego chociażby, że Palo Bielik jest twórcą cenionych filmów: „Wilcza jama” czy też nagrodzonego w Karłowicach nagrodą krytyków filmowych (FIPRESCI), antywojennego filmu „Czterdziestu czterech”.

A.



Barbara Polomska

Fot. Z. Nasierowska

„Ciao, ciao, bambino”

Z całej tej dość prymitywnej i banalnej komedijki reż. Sergio Grieco na uwagę zasługuje... tytuł i piosenka Domenica Modugno — znany i modny do niedawna jeszcze przebieg muzyczny Europy. Piosenka jest dobrze śpiewana, świetnie nagrana. Gorzej sprawa ma się z filmem, któremu użyczyła tytułu. Reżyser zrealizował tzw.

komedię nieporozumień. Oparł się na starych już i ogólnie schematach. Historia cała zaczyna się od tego, że pewnego przystojnego i zbyt fircykowatego młodzieńca bogaty tato chce ożenić z równie bogatą panną. Przyszły teść, ażeby zbadać morale ewentualnego zięcia wysłał w ślad za nim w charakterze detektywa swą sekretarkę — przyjemną

i uroczą osobkę. Powstają oczywiście nieporozumienia, kłótnie, rodzi się uczucie.

Zakończenie filmu wiodome jest już prawie od początku, choć reżyser starał się jak mógł aby pogmatwać losy bohaterów. Pośmiać się jednak można pomimo tego, że gagi są stare i znane jak sama komedia filmowa.

Uroczą Elsa Martinelli.

znana w Polsce z „Indiańskiego wojownika” jest kuszącym obiektem dla męskiej części publiczności, zaś aktorzy, którym przewodzi przystojny Antonio Cifariello, celem westchnień pań. O piosence śpiewanej również w finale filmu, napisałem na początku recenzji.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

EKRANIK

PABLO PICASSO, Ernest Hemingway i Jean Cocteau zagrają wspólnie w krótkometrażowym filmie francuskim pt. „Duch corridy”. Tematem filmu, realizowanego przez młodego malarza reżysera Delanglade — jest walka byków, a wspomniana trójka sław należy do wielkich amatorów tego widowiska.

WIELKI SUKCES KASOWY „Krzyżaków” zapoczątkował jak się zdaje całą serię ekranizacji naszych klasyków literatury. Reż. Aleksander Ford planuje kręcenie „Chłopów” Reymonta. Scenariusz wg. „Faraona” Prusa napisali Tadeusz Konwicki i Jerzy Kawalerowicz. Wreszcie — o adaptacji fragmentu „Popiołów” myśleli już od dłuższego czasu reż. Stanisław Lenartowicz.

NOWE WCIELENIE najpopularniejszego aktora Francji, Jean Gabina — to rola tytułowa w filmie Henri Verneilla „Premier”, wg. scenariusza znanego autora powieści kryminalnych G. Simenona.

STANISŁAW WOHL, znany realizator filmowy i telewizyjny — objął kierownictwo zespołu „Syrena”. Wkrótce na łamach „Miejszanki” — w tradycyjnym, dorocznym cyklu rozmów o planach zespołów filmowych — zamieścimy wywiad z reż. Wohlem.

EKRANIZACJA WOLTEROWSKIEGO „KANDYDA” — o której donosiliśmy ostatnio w „Ekraniu” — ukazała się na ekranach Francji. Film został entuzjastycznie przyjęty przez prasę i widzów. Niestety — na skutek ostrych antymilitarystycznych tendencji tego filmu, francuska cenzura wydała zakaz sprzedawania go za granicę. A więc w Polsce filmowego „Kandyda” nie zobaczymy...

DONALD